

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnośnieniem do domu.

Przyjętą pocztą do wszystkich miast Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres Nadawcy Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odcyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciagu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poeity, po nadstąpieniu kosztów wysyłki. Rękopisy drobnie nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism prasydycznych.

Sprzedżat pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwiera codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

WYDZIAŁ: POLITYKA: Polityka a duchowieństwo. — Tydzień polityczny. — Z Dąbrowskiego. — ODCINEK: Widmo, p. Jana Andrzejewskiego. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Rachunki społeczne, p. J. Dąbrowskiego. — Z nad Warty i Odry, p. Poireduka. — FELITON: Lamiętek. — BADANIA NAUKOWE. Uczucie tamy postępu (Rozszerzony odczyt na powołaniu), p. A. Świętowskiego, — Kronika historyczna (dokochanie), p. Michała Sokolnickiego. — LITERATURA I SZTUKA: Juliusz Słowacki (c. d.), p. Dr. St. Zdzisławskiego. — Ze zasku, p. Sierpa. — Nowe książki, p. Z. Br. — Młodzieżowy rynek pracy. — Na marginesie. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcji. — Odczyty. — Ogłoszenia

POLITYKA.

Polityka a duchowieństwo.

Sprawa, która przez trzy dni, od 18-go do 25-go z. m. toczyła się w Bytomiu, odsoniła całe zepsucie moralne duchowieństwa śląskiego, niemieckiego, w pastwieniu się nad ludnością polską. Gdy się proces rozpoczynał, na ławie oskarżonych siedział p. Wolski, redaktor *Górnolślazka*, gdy się kończył — zapelnili je sami już tylko jego oskarżyciele, książę śląski. Dokładniejszego, z większą precyzją wykonanego samobójstwa wyobrazić sobie niepodobna nad to, jakiego się dopuściło duchowieństwo śląskie, wczepiając proces bytomski: wisi teraz na własnym swym sznurze. Sprawa sięga jeszcze czerwca 1903 r. Ukazał się wtedy list pasterski ks. Koppa, biskupa wrocławskiego, zakazujący wiernym czytać, tryzwać w domach swoich i abonować niezależne gazety polskie, o których eufemizm biskup wyrażał się, że „obrażają i nawet bezczestują kapłanów kościoła katolickiego.“ Sankcja zakazu była groźba „odmawiania błogosławieństw i łask kościoła“ czyli sakramentów, stanowiących rdzeń wyznania. Była to plenipotencja wystawiona na księżom do spełnienia nadużyć germanizacyjnych pod hasłem wiary, i z plenipotencją tej książę skorzystali w sposób prawdziwie przerażający. Żadne przesładowanie policyjne nie mogło być dla ludu śląskiego tak straszącym, jak ten proceder gnębienia, któremu się teraz oddali pastarze owieczek.

Trzydniowe przesłuchiwanie świadków — a wezwanych było aż 86 — ujawniło fakta przyjmujące zgrozę.

Oto w Opolu znalazło się czterech takich spowiedników, którzy pod tym tylko warunkiem dawali rozgrzeszenie, że penitent nie będzie już czytał nigdy *Górnolślazka*. Jeden z plebanów wiejskich, ksiądz Kwiatek, umierającemu już Rafałowi Naudzikowi kazał przysiąc, że nie weźmie do rąk tej przekleństw gazety — jak gdyby ja umierający zamierzał i na taumty jeszcze świecie abnować. Jednemu z rozpowieczeni dziennika, Teodorowi Majowi, ks. Jauernik odmówił ślubu, idąc za przykładem księdza Schirmeisena, który nie chciał być pobłogosławie w kościele małżeństwa obecnego psta Korfante, książę politycy odmawiali nawet pogrzebów tym, w których widzieli za życia opór przeciwko germanizacji, a zwykła książę choiwość jaskrawo przytem wychylała się z pórśd dążeń germanizatorskich: taki ksiądz znieprawiony wymyślał od „fajdaków“ tym, którzy nie chcieli mu dać tyle, ile za pochowanie ciała żądał. Z ambony nawet padały wymysły: „wy świnie polskie!“ a groźby ognia piekielnego wraze nieuległości były zwykłą strawą niedzielną tych biednych dusz, kościółowi ślepo oddanych, ale i do narodowej już samowiedzy zwolna się podnoszących. Miarę nieśćszych moralnych, jakich donosiwały te dusze wskutek przesładowania własnych pastarzy, daje sama już ta okoliczność, że nie jeden z odepchniętych od konfesyonału wyjeżdżał umyślnie do Galicji, aby się wypowiadać i religijne sumienie swe uspokoić.

Proces przeciwko p. Wolskiemu wszczął biskup Kopp po przedrukowaniu przesławy w *Górnolślazku* artykułu o nadużyciach i gwałtach duchowieństwa śląskiego z warszawskiego *Przeglądu Katolickiego*. Fakta

ujawnione przez zaprzysiężonych, świadków szybko wszakże nauczyły go, jeśli nie onoty apostołskiej, to politycznego rozrądku i jak tylko spostrzegł, co się święci o czem świat cały dowiedzieć się jeszcze będzie musiał w dalszym postępowaniu dowodowym, rzekł się zaraz dobrodziejstwa sprawiedliwości, odstąpił od procesu, skargę swą zupełnie umorzył. To jednak, co już przez trzy dni na jaw wyszło, wytarcało do napępowania książę śląskich i ich sternika wrocławskiego, który owym listem pasterskim sam rozpętał namiętność germanizatorską, obracając religię w niewolnicę polityki; sam też, z doradcami swymi i podwalnymi, jest za bezprawia odpowiedzialnym. Nie pomogą tu żadne wykrety, żadne ostaniające godność kościółta, a wrzekomo i religijność ludu plastry retoryczne gazet polskich, lekąjących się prawdy. Gdyby kościół katolicki dbał o własne swe istnienie w postaci potęgi moralnej, czystej i celom idealnym oddanej — ten proces bytomski powinienby do drzeź do Włokanu i wywołać z niego stałą, zasadniczą reakcję przeciwko nieprawym dążdom; ale polityka nakazuje milczenie, polityka zaszczerpie jeszcze zepsucie na przyszłość. Lepiej podobab się oskarżeniu Wilhelnowi, niż dotrwać w obowiązku, szlachetnie pojętym, niż go przedtem jeszcze szlachetnie pojąć. Cokolwiek wszakże się stanie lub nie stanie w następstwie procesu, powiedzień o nim trzeba, że go wygrał z p. Wolskim — ody lud śląski, a wygrał mimo niegodziwego kierowania nim przez przewodniczącego w sądzie. Naktym coraz głębiej wżera się w sprawiedliwość pruską.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dnia 22 b. m. Japończycy ukazali się znowu przed portem zwanym Portu Artura, ostrzeliwali otwarte rosyjskie w porcie wewnętrzny, ustrążyli poludniowego jego wysoki do zatoki Gólczyj i po wypłynięciu eskadry rosyjskiej do portu zewnętrznej. utrzymując jeszcze słaby, przerywany ogień, o godz. 3-jej po południu oddali się. Zamiarem prawdopodobnym było wywabienie eskadry portowej na pełne morze, gdzie przy znacznej przewadze liczebnej mają swobodę ruchów, zahamowaną w pobliżu przystani przez zatopy wybuchowe i ogień z baterji. Admirał Makarow wypłynął z portu, ale dopiero 26 z. m. w celach rozpoznawczych. W nocy na 27-y ponowił admirał japoński, zdaje się, że sam Togo, usiłowanie z 20-21-tem, mianowicie powtórzył próby z zatopieniem ataków zapalonych, t. zw. *branderów*, w szyi portowej. Próba znowu się nie udała, jakkolwiek z liczby czterech dwa statki uwięziły na skalach i w płytyżach częściach morza, ale wejścia do portu nie zagroziły; dwa inne według buletynu adm. Makarowa zatopły. Napad, wykonany przez torpedowce japońskie, trwał półtorę godziny. Torpedowcy „Silny”, ugodzony w maszynę parową, zatopił pod Złotą Górą, ale został wydobyty i oddany do naprawy. Są na nim ranni i zabici. O 6-jej ran 27-go ukazały się pancerniki japońskie. Baterje Tygrysiej Góry (na zachodo-południe od przystani) rozpoczęły ogień, wderwały im „Ilojan”, „Nowik” i „Asakold”. O godz. 9 m. 15, cała eskadra rozwinęła się w linię na przystani, „ale wtedy właśnie już eskadra japońska zaczęła odpływać, o 10-jej znikła zupełnie z widnokręgu. Torpedowca zepchnięto ze skal. Japończycy zapuszczali miny, a na braderach mieli maszyny piekielne i szybkostrzelne działa Hotchkina. Oficerzy się pod wyspy o 70 kilometr. od Talienwanu.

Na Korci posunęły się wojska japońskie na północ od Pjong-jangu ku Anču (Andzu), na lewym jeździe brzegu Jalu. Pod to miejscowości docierają przednie rosyjskie pod gen. Miszenko. Pjong Japończycy mocno obwarowują. Źródła rosyjskie donoszą o 10 stat-

kach przewożowych w samem Czynampo. Widać zatem przyspieszone tempo ładowania japońskich. Obecnie można siły wojenne w Korei oszacować na 100,000. Nie słychać nic o Genzanie; jest nawet telegram wskazujący, jako przyczynę bezczynności na pomorzu wschodnim, obawę zaskoczenia przez eskadrę rosyjską, tę samą, której Japończycy nadmierznie szkalili po bombardowaniu Władywostoku w d. 6 z. m.

Od dnia 26 z. m. namiestnik Dalekiego Wschodu, Aleksiejew, ma dwóch pomocników na widowniach wojennych, jednego na morskiej, drugiego na lądowej. Tego dnia przybył gen. Kuropatkin, były minister wojny, do Charkowa, jako główny dowódca armii mandżurskiej i wogóle wszelkich sił lądowych, a na kilka dni już przedtem objął obowiązki takiego samego dowódcy na morzu wiceadmirał z portu krusztadziejskiego, Makarow. Obaj są „samodzielności i odpowiedzialności” co oczywiście zdaje się samodzielną i odpowiedzialnością z samego namiestnika. Przewidywać można zupełne jego usunięcie. W ogłoszeniu urzędowym gazety *Prawdński Kraj* powiedziano, że obecna walka ma zapewnić Rosji dominujące stanowisko nad brzegami Oceanu Spokojnego.

Sejm w Tokio uchwalił wniosek rzędu o fundusze na wojnę, trochę tylko zmieniono akcyję proponowaną; wogóle znalazł się sejm na wysokości położenia. Wątpić można, czy pozyskane 580, a chociażby i 600 mil. yendów wystarczą na potrzeby wojny, która ciągnąć się będzie długo, jeśli się nie ma skolejczych rychło klasę Japonii. Uchwalono też i podziękowanie dla wiceadmirała Togo — jako zachęcenie za przysługę. Rząd przedstawiał całą swą korespondencję przedwojenną z Rosją.

We Francyi przez sejmowe, zapalczywe walki na pięci, gburzenie w pulpity i walenie pulpity, krzyki i wymysły i wszystkie wspaniałości obstrukcji. D. 21 z. m. Izba poselska uchwaliła propozycję Leygues'a, byłego ministra, aby utrzymać szkoły misyjne na Wschodzie — 283 prz. 272. D. 23-24 odbyto dwa posiedzenia, dzienne i nocne: jedno od 11 do 7-jej, drugie od 9 do 3-jej zrana. Było to właśnie dzieło popisów obstrukcyjnych.

Rząd chciał koniecznie przechnąć art. 3 prawa o zniesieniu szkół kongregacyjnych, które ma być częścią systemu, zapewniającego

go Francuzom swobodę nauczania, nasadził Rabiera z wnioskiem o uśmiercenie dalszych 9 artykułów. Opozycja walcząca zaciekło, ostentacyjnie przegrała: d. 24 uchwalono 300 prz. 240 gl. ów art. 3, uzupełniający niezgodnie dla rządu normy prawne. D. 25 z. m. była znowu linia burzy: o podróz Loubeta do Rzymu. Katolicy odrzeczyli na królestwo włoskie. Castellani nawet na dynastję sabaudzką. Wskoczyć uchwalono 450 tys. fr. na podróz (502 prz. 123). Od worku miano rozbiierać w Izbie dzielnosci Pelletana, a raczej samego Pelletana. D. 26 z. m. spotkał się ces. Wilhelm z królem włoskim na pokładzie „Hohenzollerna”, w zatoce Neapolitańskiej. Toasty na cześć trójprzymierza — sprawili wrażenie. Król jest w kłopotcie: musi być teraz z kolei przyjaciелеm Francji.

W Habsburgii dobrze, bo sejmy zamknięte.



Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

III. Klasztor Sök-oan-sa.

(Ciąg dalszy.)

Przechowywany rzeczek po garbatym moku i wjeżdżamy do gaju ogromnych dębów i słodkich kasztanów. Tym dzieci, które biegły ku nam na przód, z wioski, zatrzymały się u strugi i nad cieżmą narodził. Mijamy gaj i spuszczaemy się ku brudnym ścieżnikom, pocietym wazkami groblami. To są pola ryżowe. Prowadzi przez nie doskonała, wysoko usypała droga. Wszędzie widad łaz, zamożności i porządek. Z lasku opodał wychylały się rogata dachy chlebskie z żłobkowatymi dachkami.

Juz jesteśmy na podgórzu potężnego, wprost z doliny wzdymającego się, gór-

JAN ANDRUSZEWSKI.

*

WIDMA.

W szpitalu, gdzie był lekarzem, wrócił jakikś więcej zmęczony, niż zwykło być. Wkle, więcej zdenerwowany.

Było dużo roboty, a on wszystko odrobił sumiennie, ale osłabił, całkiem z nit opadł, ledwie się przywlokł do domu. Leży drugi, a sam jest chory.

Mceży go chodzenie, przy lada wysiłku okrywa się potem, czasem i gorączka przychodzi pod wieczór.

Kogo innego w takim stanie wysłałby na wieś, zakazałby mu pracować...

„Ale on musi...”

„Zna, dziesięć... bieda...”

„Nie może sobie pozwolić na wyjazd...”

„Nie ma na co...”

Wie, że ma piersiową chorobę, poczekał, wysukał to sobie, wysłuchał... Wychoł w ostatnich czasach, ubranie, robienie niedawno, wiś na nim...

Zresztą to poty, gorączka pod wieczór. I twarz o wypiekach złowrogich... Zna on je dobrze, te różki cmentarne. Ale cóż robić? Trzeba chłodzić leżące — siebie nie można.

Niemia czarui - niemna za co...

Zresztą te rzeczy czczą i same się goją, jak się trochę znanować...

I żyć z tem można.

Nawet kawerny mogą zawyżać...

Niejednego odstąpił już lekarze, a on jakby cudem ozdrowiał...

Taki! Tak!

Na postaniu pod ciężką, „wyprawną”, z czerwonej welny koldra, leży pół martwy, z rękami bezwładnymi wzdłuż ciała.

Na ziemi w beładzie jego ubranie, zrzucone w wysiłku, z którego rozchodzi się mdła won karbolu, won szpitalna, wlokąca za sobą grozę i przedmak śmierci.

Był tak zmęczony, że nie zdołał według zwyczaju wyrzucić swej szpitalnej odzieży do kuchenki.

I teraz ma jedno pragnienie.

Żeby to choć spać...

Dawniej spiał lepiej, dziś oka jeszcze nie zmrużył, chociaż tak zmęczony.

A może to kęsieje sen mu odpęda.

Teraz właśnie pełnia.

Przez kwiaty zronowe na szybach plynie blade światło do wnętrza sypialni, klade się jasna, długa struga po podłodze, lśni w lichtarzu, w szklance z wodą, na szafce koło łóżka, pada ciemną lodową na twarz człowieka o rysach wychulłych, szklil się w jego szeroko rozwartych zrenicach.

Tę, oczy wpadnięte w głąb, jakby same w siebie patrzyły, zdają się biedz szlakiem swych myśli gdzieś z mrocznych pół przesiłcości przez oświetloną, księżycem sypialnię w jakiś beznierowny, beznadziejnie daleko rozarty, pusty odgęt.

Chory wzrok człowieka ślizga się po śnieżnej posłoci drugiego łóżka, z której, jak pęk złocieni z grzędy narecyzów, wy-

kwita jasny snop wlosów i świeża, jak kwiat, twarzyczka uśpięnej, młodej kobiety. To znowu idzie po rubinowej smudze lampki nocnej, gdzie złota główka różowi się w poduszczkach.

I znowu wraca ku postaci kobiecej w białej bieliznie, oblanej księżycem, na rysującej się z pod opadłej koldry jej linie, w których kwiat rozkwita tęsknota jego życia.

Patrzy na jasne wcielenie, złote ziaze, nie sięgając tych uczuć bezdomnych, które tak często pierd i mózg mu trawili, na ten dom ich z żywych marmuru, kwiecie i tyranie, niedzianego słoneca wlosów. I widzi dzieło kobiece, jak płońie w alabastrowej lampie tego ciała czysta, przejąca, czystą jego ja, odwracany odien przed wieki.

Wychował ją sobie duchowo, rozwijał w niej cały ogród najpiękniejszych kwiatów, jakie Bóg wieje w ludzkiej pierś.

Każda myśl, w nim poczęta, szła do niej cicho, jak oddech ciemni idzie na lilie, zapładniała ją coraz nowem, coraz czystsza, piękniejszą, oddawała się jej rozmodłom w tem, co dobre w duszy kobiecej, klęczała przed nią, jak przed bóstwem, któremu się składa ofiary...

Jego świat cały w tej uśpięnej istocie, uzupełnienie, synteza wszystkich jego najsłabszych pierwiastków...

A tam w kołysce śpi cicho polna róża ich tęsknot — mała dziecina różowa.

Cisza — tylko słychać miarowe wahanie solennego zegara...

Zawarł powieki, leżał czas jakiś nieruchomo, i znowu je otworzył.

skiego łańcucha. Z obu stron drogi stercza wódrł drzew dzwiczne, wysokie na 10 sążni słupy, z wyrzeźbionymi na koncu potworkami głowami, o wulpiastych oczach i rozwartych, czerwonych paszczach. Dalej widać nad drogą czerwoną bramę w kształcie szubienicy, z szatachtami u góry.

Jedziemy lasem dość rzadkim. Omijamy zmurszałe skały i zawracamy ku wzniesieniu cemu poprzez rzadkie gałęzie wysokiemu szczytowi. Wygodna droga, szeroka i gładka, wznosi się w górę. Znowu mijamy bramę w kształcie wielkiej, chińskiej, czworobocznej altany na ośmiu słupach. Niedaleko stamtąd, w zakłóściłości górskiej miesi się mały cmentarz, pełen pionowo stojących głazów-pomników, upstrzonych hieroglifami. U drogi, na gładko zciśnionych, szaro-zielonych skałach czernieją głęboko żłobione, pobożne i mądre wyrazy. Znowu brama. Droga spuszcza się cokolwiek na dół. Zapada zmierzch. Mgły ze szczytów, kłębiące się, staczają i wypielają białym awym oddechem ślicznych las mieszany. Czernieją tam olbrzymie sosny i cyprysy japońskie; złote wierzyby, lipy, jełony i ogolone z liści niasterne ilmy wychylają się z tumanów; toną w nich ciężkie, słodkie kasztany o lekko poczerwiałych liściach, potężne dęby mandżurskie, wyciągające daleko kręte, miedziano-liście konary. A na pniach drzewnych płaczą się i wieszczą delikatne zwoje japońskiego chemiuli, niby lotne zasłony z szarego muszliny; czarne, obwiałe mosty cytrynowa (magnolia) przecinają powietrze, ciężkie ich kołce, grube jak liny okretowe, opadają ku zarostom drobno-liściowych, krzewiastych kłostów, dzikich trzcin, sliw, szakłaków, głogów i malin... Złote, bure, ogniste i karmineowe ich liście, przyciemnione obecnie ngłą i zmrokiem, nie stają się w śliczną mozaikę. Lipiećce, kolczaste drzewo dyable przewija się wazędzie, jak cierniawa korona. O tak, piękne są lasy korejskie! Szkoła, że ich mało!

Coraz ciemniej! Światła wieczorne jedynie góra przecina las poziome, krwawo-musznymi. Dolina zwięza się, droga ostro pnie pod górę, tuż nad krawędzią potoku. W czarnym, jak atrament, jarze głucho bułkocze woda. Przebywamy przepaść po

starożytnym moście łukowym z ciosanego kamienia, nakrytym łukowym dachem drewnianym. W białym wylocie długiej ulicy, nad którą zesklepili się konary wzniosłych drzew, czernieją budowle o wyniętych dachach i tli się mdłe światło. Po chwili stajemy przed tegimi, czarnymi murami, zamkniętymi wielką, ostrołukową bramą. Na stuk kopyt i wołanie naszego ma-fu wychyla się z jakiegoś otworu łysa głowa mnicha. Zamieniają z sobą urwane wyrazy, poczem wielkie wrzeczadła z głuchym zgrzytem rozchylają się i wjeżdżamy pod arkadę czarniejszą od nocą. Głosy ludzkie i stuk kopyt końskich dźwięczą rozlegają się pod sklepieniem. W głębi podwórza migają światła, w pomrocze chodzą czerwone gęby smugi, w których widzę poruszające się, białe postacie ludzi. Wrota z głuchym zgrzytem znowu się za nami zamykają. Jednocześnie na płaskich tarasach słupów kamiennych, po obu stronach kamiennych schodów, wiodących na wzniesienie, zapłonęły stosy smolego, łuczywa. Pasma czarnego dymu wija się nad ogniem i tuka po podwórzu, okolonem wysokim murem. Wskupujemy po schodach w górę, gdzie na kolumnadzie wspiera się ciężki dach. Tutaj na kamienniej posadzce noceją w lecie piegrzymi. Dla mnie jednak wygodny murek w szarej opończy rozsunął uprzednie drzwi małej komnatic, całej wykrojonej, jak pudełko, nadołwionym papierem, grubym i żółtym, jak pergamin. Zapalono świecę, wstawioną w wielki lichтары żelazny. Przyniesiono mały stolek.

Tymczasem ma-fu przy pomocy kłaztrotnych sług zdejmował z koni kajki i siodła, a ton-sa rozkładał poważnie w mojej izdebce wyjmowane z torby podróźne przedmioty. Na stronie sąj jakieś szepty, w czerwonym blasku smolników prześwalały się białe i żółte postacie w powłoczyszych szatach. Wreszcie zamajaczyła na stopniach schodów cała ich grupa. Środkiem szedł poważny kapłan w żółtym, jedwabnym, obszernym jak ornat habicie, niby w ręką rózganie, a na głowie żółty beret rogaty, towarzyszyli mu dwóch służków z wygolonymi głowami, w białych szatach. Każdy z nich niósł w ręką po wielkiej,

srebrnej misie. Wozili, postawili misy na małych, drewnianych stołeczkach i cofnęli się z ukłonem. Kapłan siadł przed nami i skłonił się, przyłożywszy ręce do czoła.

— Witam cię, cudzoziemcze! Nim mówić zacznieś, spróbuj naszego napoju...

— Niech pan spróbuj!... To dobre... Tak! tutaj zwyczaj! — dodał od siebie, przedmawiając pozdrowienie ton-sa.

Odpowiedziałem pozdrowieniem i poniosłem czarę do ust.

Była to ciepła woda, z pysznym, aromatycznym miodem. Wychyliłem napój do dna ku wielkiemu zadowoleniu otaczających. Poczem nimn zaczął pytać skąd ja, dokąd, kto jestem. Przysięgnąłem wielką, w skórze oprawną księgę gości, zapisaną niezliczoną ilością chińskich, korejskich i japońskich napisów.

Szukalem podpisów europejskich. Było ich ledwie kilkanaście, przeważnie angielskich, parę włoskich, parę niemieckich i rosyjskich. Wśród nazwisk odczytałem między innymi: George N. Curzon, "M. P. London, 9 Oct. 1892. — Seul spring rice" — podpis obecnego wicekróla Indji, autora książki "Problems of the Far East."

Rozmawialiśmy czas jakiś o krajach Zachodu, o ludach i wiarach, poczem duchowny skłonił się nisko i, powiedziawszy po japońsku "kombawa" (dobranoc), odszedł, poważnie atając po wielkich schodach z różanecem w rękę. Wnieziono natomiast tacę z posiłkiem. Był tam biały, doskonały ryż, solone i kwaszone warzywa, polane ostrym sosem ze strączkowego pieprzu, i skłódkie placuszki z miodu i leśnych orzechów.

Ogień na podwórzu dogaszał. Przy niewyraźnych ich błyskach widziałem, jak ma-fu zaprowadził konie do stajni, jak następnie udał się na spoczynek do czeladnej w towarzyszytę służek i parobków. Ton-sa powiedział mi dobranoć i znikł w swym pokoiku obok. Skoczyłem natanki i wyścignąłem się na mym podróźnym wojuku, na czystej, ciepłej, ogrzanej z dołu podłodze. Przez cienkie drzwi papierowe z nadwroza dobiegał mi szum lasu, łoskot wzbierającego potoku i przejmujący śniepot

Chore oczy, zmęczone prawy, idą smutnym niepokojem po świetle księżyca. Idą, jakis drogą niekonieczną, to ciemną, to jaśną a śmierciowa pusta.

Wtem śmierciowa poczyna żyć.

Szarpnął się na łóżku.

Próżnia dokoła niego rusza się, kłębi, zaludnia dziwnymi widmami.

Powstają one zrazu niewyraźnie, przymglone, jakby sąły z odległych pól o-mierzchłych. Czasem, lecz coraz wyraźniej wypielają z pokoiu, rosną, zda się, wywołują swe ciała głąb widmowych z falów odzieży, czerniejącej się mogiła na oświeconej księżycem posadzce.

I powoli wyciągają się długim korowodem w krwawej smudze rubinowej lampki. Szeroko rozwarł, płonące dogasający węglałi żrzenie płonące człowieka widzą, jak jedna mara po drugiej okruża wózek dziecinny, jak zagłada cicho do niego, pochyla się nad nim.

Widzą w dziwnem, półśennem uświadomieniu to, czego nie widziałyby może w dzień, czegoby inne, zdrowe nie dojrzałyby oczy.

Jakby jasnowidzenie jakieś przyszło na chorego.

Ta zimna, ślika mara, niby z wody wyjęta, dygotała drzeszczem — to zimnica.

Owija się węzłem domoka wózka, zda się ślizgać po jego bokach plecących, przylutych do nich, wiaksz w nie... Aż zwolna, jakby zmęczona wysiłkiem, rozplywa się w świetle lampki nonej.

A ta ogniem ziębia, o włosach rudych, płomiennych, z twarzą centkowaną czerwono — widmo-zar...

Liże widmowa, czerwona koldkę dziecka, skacze po niej, szczy, gryzie ją...

Przypadła i druga czarna, cała w krociach — z dziurami na twarzy po rękach.

To ospa, a tamta ogniowa — to szkarłatyna.

Tłoczą się dokoła drobnej twarzyczki, wyciągają do niej ręce-żyjki.

Odeuwa je inna, straszna, śina, a wydzonych na wierzch oczu, w rękę trzyma pętlę z powozu, zarzuca ją dziecku na szyję...

Porywa się ojciec z pościeli, chce biec, odpedzić znoiry.

One uauwają się przed nim, tańczą, wirują.

Wionęły łachmanem ciała, łachmanem szat i rozpylił się od nich cały kłęb dziwnie bezłitosnej, szpitalnej nocy, pełnej grozy i przedśmiertnych drzeszczów samotnych, sierocych, bez lez nieczych, bez jednej duszy żywejliwy.

I tańczą tak widma, wirują naokół śpiącego dzieciny — coraz chżyż, coraz chżyż, aż wreszcie, rozplynąwszy się we mgły, giną w czarnej smudze nonej lampki.

Opadł znow na poduszki, przynęmkł oczy, nie śmie powiek rozowrzed. Otwiera mu je za chwilę twóżna ciekawość.

I znow ta woń ałwialnych sal.

Wzrok jego kieruje się w stronę mogiły odzieży, bo czuje, ho wie, że stamtąd wywije się nowe widmo.

Jest już — pełźnie — twarz ma wychudłą w duże plamy ceglaste. Skrawa się zwolna, chwiniym krokiem, lepki pot spływa po wychylch, trupich rękach.

Nagle pierś zapada się widmu od kaszlu atasnego, to znow rozzerza się, wypina liniami zęber.

I nie może tego kaszlu powstrzymać. Długie, kóśiste palce o krzywych paznokciach chwytają za żebra, ciemną, wygnaną rozpacznie, jakby je chciały w pierś wduć.

Ważalsko napróżno...

Nowa fala konwulsyjnego kaszlu.

Chrzęświ widmo kości, dyseze zmęczone, opływa potem...

Aż nagle podrywa się ostatkiem sił, ciaka napróżd i ustami, z których bucha krew, przywiera do cicho rozwartych usteczek dzieciny.

Poznał ją chory lekarz.

To ona, jego upiór, jego znozna śmiercielną: gruzlica.

Wyskoczył z łóżka — chce odpedzić widmo, schwytyć je za garło — zdusić...

Patrzy, rozgląda się nie.

Wrócił do łóżka.

— Ha!ucynacy! — szepcze sam do siebie — wytwór podnieconych nerwów, pewnie ma gorączkę...

Zdaje mu się, że wreszcie zaśnię.

Lecz teraz budzi się dziecko. trze główką o poduszki, krzywi ustaćko, pocięga nóżki pod siebie, rozkłada zacząćnie rączki i krzyk płacziwy, przecięgły, żalony idzie w noc.

Drugi — trzeci...

Placze dziecko i plaee.

jesiennej zaradki, nabiegającej niespodzianie, jak zwykle w górach.

(C. d. a.)
W. Sieroszewski.

ZYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Znowa powód. — Wolanie o ratunek. — Życie słowackie: krytyka kas posagowych i zwrot w życie spółek włościańskich. — Kwoty służby domowej. — Parę obrazków dla rozmoisłości.

Słuszne wrażenie zesłorocznej powodzi, które niedawno wstrząsnęło niekiedy całym krajem i spętało dzienników zapelnio mnóstwem projektów mniej lub więcej szczęśliwych, mnóstwem ubolewań, a co najważniejszych, składkami na pomoc dla jej ofiar, obecnie, zdaje się, przemigło. Co na to wpłynęło, nie wiem. Jęków przynimającej głodem ludności nie zagłuszyły chyba za nabyt głośnie objawy wdzięczności dla spisywanych z pomocą. W każdym razie stwierdzić trzeba, że niedola powodziarza przestała być dla nas rzeczą „aktualną”. Dowodzi tego choćby małe zainteresowanie się prasą naszą, zarówno warszawską, jak i prowincjonalną, krótkim lecz wymownym i do głębi acie wstrząsającym, choć tak cyrami najeżonym artykułem p. J. Popiela w *Słowie*. Z artykułu tego dowiadujemy się, że wola zalała obszar, wynoszący około 38 tysięcy morgów, z 41 przeszło tysiącami ludności, przeważnie małorolnej, gospodarującej na bardzo małych działkach, powtórzonych przez podział gruntów ukazowych i parcelacy. Kłękę powieksza jeszcze straszliwy natłok ludzi, zwykle zajętych w fabrykach, a obecnie, wskutek przesilenia w przemyśle, pozabawionych pracy i powracających do domu.

„Kalkiem bez środków do życia — pisze p. Popiel — jest 2,100 rodzin. Na przeżywanie ich, licząc po 5¹/₂ głów i po 6 kop. na głowę, potrzeba dziennie 680 rb., czyli na 30 dni jeszcze najmniej 20,700 rb. Dla 4,400 rodzin, licząc po 1 kopieje dziennie na głowę, potrzeba według tegoż rachunku 6,900 rb. Na obiów wiosenny, licząc tylko co najniższe, potrzeba zboża za 44,700 rb. Nie uwzględnił p. P. w obliczeniach swoich konieczności wspierania wdów i sierot do 1-go kwietnia jeszcze i naprawy uszkodzonych budynków. Ogólne wrażenie z dotkniętej kłęką okolicy — głód, choroby, wzmagaająca się śmiertelność, która o 100% przeszło przewyższa cyfrę śmiertelności w tymże okresie czasu w r. zeszłym. Rychoła pomocy potrzebna! — tym okrzykiem, do ogółu i do prasy skierowanym, kończy p. Popiel.

W prasie cisza — echa dalekiej wojny elektrycznej — rozciokawiona publiczność, huk armat, o tysiące wiarat odległych, zagłusza głos cierpienia blizkich. Kuryerki pełne są najkomunikatniejszych wieści, najnieprawdopodobniejszych brzmień, sensacji, a prasa prowincjonalna nadbuduje siostreczy warszawski: zaledwie gdzieś niedziedziło odziewać się echo z nieszczęśliwej niziny stopniowej, a groznie na wapożenie nieszczęśliwych powodziarza płyną ekipy, bardzo skąpo... O czem innym myślimy.

Z tego „czego innego” zaznaczyć muszę podnoszące tu i owdzie głosy, krytykujące nasze życie zbiorowe i działalność na polu samopomocy. Znak to niechybny, że zaczynamy powoli otrząsać się ze ślepego uwielbienia dla jej najnowszej i modnej postaci egzystencji, że wkrótce nastąpi

normalny rozwój naszej zbiorowości, bez prób ryzykownych, skoków i wahań.

Z tych głosów na razie zazwyczaj uwagi fejletonisty *Gonia* *Łódzkiego* o życiu i rozwoju kas posagowych w tem mieście, a wagi te nacechowane są surowym krytycyzmem. Po zbadaniu dokładnie — pisze autor — sprawy kas posagowych, doświadczeń do smutnego przekonania, że wiele z nich działa nieprawidłowo. Przekupstwa, odtrącanie procentów od posągów na korzyść przezoów, niekolejne zapisywanie w poczet członków, wypłata posągów i mnóstwo innych, drobniejszych, a czasem i grubszych odstępstw nie tylko od paragrafów ustawy, lecz i od paragrafów kodeksu karnego, to wszystko może się dzieć bardzo łatwo, jeśli powstanie kasy, a następnie utrzymaniem jej na „wykości załadnia” zajmuje się jeden człowiek, który zwykle jest t. z. „prezes”. Wgółem autor nawołuje ogół do baczego przestrzegania życia publicznego: do kontroli nad działalnością zarządów i ścisłego trzymania się ustawy. Ten głos organu *Łódzkiego* nie jest odosobniony — w innych pismach prowincjonalnych znajdujemy wytknięcia różnych wad w stowarzyszeniach naszych, nigdzie jednak nie znać zniechęcenia. Krytyka, lecz krytyka zdrowa, choć często bezwzględna. Wgę poczucie zbiorowości i wiara w nią rozwija się cagle.

Ze się rozwija, widać nie tylko z tych lub innych głosów, lecz również i z szeregu cyfr. Biorę więc konserwatywną, a z jej życia niewielki okres czasu, bo tylko objawy krótką pism od 5 do 15 marca, i znajduję takie okolice, w których mniej więcej koło tego czasu powstały spółki włościańskie: Świeciechów pod Opolem i Mateczyn w g. Lubelskiej, Wilga i Drełow w g. Siedleckiej, okolice Tykocina, Zawady, Orłówka w g. Łomżyńskiej, Starażęby, Wempily w p. Plockiej, Płosk i Belsko — w Warszawskiej, Piastek (Łęczycki) w Kaliskiej, Kodraba (Noworadomskie) w Piotrkowskiej i okolice Jedrzejowa w g. Kieleckiej. Ruch więc objął kraj cały i zaczyna przyjmować się w szerokich masach, czego wymownym dowodem takie spółki, jak tykoćńska, do której przystąpiło 300 uczestników z udziałami 10-rublowymi, lub „Wiarą” w Wildze, mająca 3-rublowe udziały i 200 przystąpiło uczestników.

Uspokaja to obawy tych, co w powstających spółkach widzieli początki wyodrębnienia się arystokracji chłopiejskiej i groźbę ucięcia żywiołu małorolnego przez zorganizowaną póniekąd kancę „bogaczy” wiejskich, mogących wytworzyć coś w rodzaju „kulaków” rosyjskich. Te obawy są przypuszczalnie niesłuszne, przynajmniej na razie, a zresztą co do przyszłości uspokaja widok łączenia się w olbrzymie, jak na nasze stosunki, spółki chłopów małorolnych, wnoszących kilkorobowe udziały.

Jeżeli teraz, czytelniku, od kipiącej życia zbiorowości naszej zwrócimy się o jakimś duszy do przebijającego się na zapłach piam idyllicznego życia w zaciszu domowem, przy wesoło trąskającym (symbolicznie naturalnie wobec dzisiejszego ogrzewania postępowego) ogniu rodzinny, to ułazywamy tam idylgę, walki. Tylko, uspokój się czytelniku, walki „nie tej krawędzi, co świat wzierającym napelnia prawskim”, lecz walki wymagań postępu i pewnego rodzaju sumienia społecznego z rutyną, przyzwyczajaniem i leniwem myśli. A przedmiotem walki — kłóży się spodziewał służba domowa.

U nas wódmie niezwykle to ważna kwestya. Żaden dom, t. zw. inteligentny, bez służącej się nie obejdzie, a ponieważ nie wszyscy mogą służyć swoją wynagradzać według jej pracy, musi siłą rzeczy następować pewnego rodzaju kompromisu. Państwo szuka ją służby nie tylko dobrej, ile taniej i wprost przeciągając pracą nieszczęśliwego „garnkotłuka”; służba zaś — odpowiednio

dobrana — robi źle, pracuje niedbale i stara się powiększać dochody swoje drogami mniej legalnymi. Oale ten szereg zarządów pomiędzy państwem i służbą nazewnąt obawiał się dotychczas, niestety, li tylko w postaci ubolewań wzajemnych, anegdotek i humorystki podjęszonego gatunku. Obecnie dopiero, po raz pierwszy od dłuższego czasu, kwestya służby domowej poddana została pod rozprawę publiczną w *Gonia* *Łódzkiej* i *Gazecie Radomskiej*.

Gonia *Łódzka* wymownie kreśli obraz doli „białych młynów”. Ich posilek, przyjmowany w przerwach pomiędzy dawnkami, a składający się z resztek obiadu: zesznośgodzinna praca, często po nad siły, lekceważenie zasad higieny w najwyższym stopniu, i wreszcie wskutek tego wszystkiego nędzny stan zdrowia.

— Wazza służba — powiada *Gonia* do nadobnych pań — wygląda bład, mizerne, porusza się apatycznie, uskarża się na senność, głyż późno udawanie się na spoczynek, brak prawidłowego ruchu na świeżym powietrzu, poltykanie kurzu przy trzepaniu mebli i dywanów, a od pewnego czasu bezsensowny, barbarzyński zwyczaj zmywania podług benzyną, jest przyczyną nieustającego prawie bólu głowy.

Taki jest stan fizyczny służby naszej. O moralnej stronie nie mówię fejletonista *Gonia*, twierdzi tylko, że ją dotąd jedynym regulatorem stosunków pań domi i służy jest kaprys i dobry lub zły humor.

Szczęci i więcej z punktu widzenia społecznego bierze kwestję służby domowej p. Rut. w *Gazecie Radomskiej*. Nie ulega najmniejszej wątpliwości — zdaniem autorki — że ta sprawa domaga się reform, i to reform sięgających głęboko, gdyż obecny stan rzeczy jest wprost niemożliwy. Służba postawiona jest przez pań w położeniu niewolnic, zmuszonych ulegać ich kaprysom i fantazjom, to też i prześlaski przymiotami, które wytwarza wazela niewola, tj. chłystkość, upodlenie, a przede wszystkim nienawidź do swych pań. Jedynę wyjście z tego rozpaczliwego położenia, jedyne, możliwe uregulowanie stosunków widzi autorka z jednej strony w takim wychowaniu naszych pań, by o ile można najmniej potrzebowały służących, z drugiej — w zakładaniu szkół dla służących, z których wychodziłyby jednostki uzdolnione, mające pełną świadomość swych praw, żądające odpowiedniego wynagrodzenia i odpowiedniego traktowania. Wynikiem uświadomienia oraz potężnym czynnikiem w rozwoju służących byłoby ich zrzeczenie się, utworzenie stowarzyszeń, które dostarczyłyby pewności pańiom, że będą uczciwie i umiejętnie obsługiwane, a służącym zapewniłyby opiekę, należne traktowanie, oraz podtrzymanie w razie bezrobocia.

To jednak — muzyka przyszłości dalekiej można nazwać. Tymczasem zaś — projektuje autorka utworzenie choćby w minimalnych rozmiarach echronienia, gdzieby służące znalazły czasowy przytułek w razie zmiany miejsca i które byłoby zapoczątkowaniem rezerwy-ogniska, skupiającego znaczna ich część, stopniem przejściowym do projektowanego wyżej stowarzyszenia służby domowej.

Biedna, skrośko biedna p. Rut. zapomniała o zdaniu Szechrzyna: „literat sobie pisuje, a czytelnik sobie czytuje”. Czyż p. Rut. sądzi, że nasze pańie zgadzają się mieć służące z takimi fanaberiami, jak dąsność do zrzeczenia się? czyż nad służące zrzeczą, uczciwą ale z „gęchą” i wymagającą dostatecznej zapłaty, nie lepszy brudas, leniwy, niegrzeczny, ale aspiciący w ciemnej kuchni, pracujący od świtu do północy i potulny, na którym pań mogłyby wylać całą żółć, nabierania przez pań, dzieci, gości, znajome, przekupki itd. Nie, mogą zapewne pami Rut., że większość czytelników, jeżeli nie wszystkie, sąd swój

nad jej doniosłymi projektami wraz z rozróżnieniem pytań: ciekawym, jak też ona sama ze swoją służą sobie radzi?

W każdym razie głos tej oryginalnej pani domu podkreślał skwapliwość.

A teraz na zakończenie parę sielskich obrazków z różnych miejscowości prowincji:

Niedławno — píše zuromiński korespondent *Boh. Płocki* — przejeździ na jednej z dróg, prowadzących do Zuromina, podziwiał efektywny widoczek. W ezionu do... reziń krowę, zdechłą podczas porodu wraz z jej płodem, do polowy dopiero wydłonił. W tejże samej osadzie istnieje zwyczaj, że oprawy zabijają na ulicy parę bezdomne lub też podejrzane o to, że nie należą do nikogo, poczem padają zostawiają na miejscu, powierzając trawiczym właścicielom powietrza i wody deszczowej jej rozkład chemiczny.

W tejże korespondencji znajdujemy jednak i pocieszającą wiadomość: dzięki ks. rektorowi doczekał się i Zuromin... pocztowiec z wiadomymi własnymi.

Niezgłówniejszą osobliwością Działo — czytamy w *Gazecie Kudeckiej* — obok faktorów, handlu „niezawracanym szwarcem“ i wielu innych rzeczy, jest dziwna cierpliwość, czy też wyjątkowa bojaźliwość lutejszych piekarskich. Kilku lotów obywateliw rozpoznało się w mieście i trzymają wszystkich swa bezczelnością w ciągłym strachu. Skutkiem tej paniki nawet działania policji są utrudnione.

Rada gminna w Wierzbniku — donosi znów *Gazeta Radomska* — brukując rynek i kawałki dwóch ulic, nie chciała wybrukować jednej z nich do końca, utrzymując, że ona należy do Starachowic, dlatego tylko, że Starachowice, woźąc niegdyś tędy rudę, naprawiały ulicę swoim kożem, choć rzeczywiście leży ona na gruncie Wierzbnika. A jest to jedna z najgłośniejszych ulic: przy niej znajduje się apteka i buduje się gmach pocztowy, pomimo to gdy nadejdzie deszcz lub nastąpią topiele wiosenne, niepodobna nogi wycoznąć z błota.

Oto kilka luźnych ustępów z korespondencji na chybił trafił wybranych dla ożywienia nudnych „Rachunków.“

J. Dąbrowski.

Z nad Warty i Odry.

Wielne zgromadzenia. — Komisia kolonizacyjna.

W miesiacu marcu odbywają się zwykłe walne zgromadzenia najpoważniejszych instytucji publicznych Poznanskiego, ogniskujących pracę społeczno-kulturalną szerokich kół inteligencji. Odbyły się więc zebrania: Centralnego Towarzystwa gospodarczego, opiekującego się większą własnością ziemską; Kolek rolniczych, pracujących na gruncie własności rolnej zamieszkałej części włościanstwa; Towarzystwa Przyjaciół Nauk — prowadzącego iście suchozincowy zrywot jedynego na całą dzielnicę pruską ogniska pracy naukowej; Towarzystwa czytelni ludowych i Towarzystwa pomocy naukowej.

Nadaję jest nie najdonioslejszą dla społeczeństwa jest działalność tego ostatniego. Umożliwia ono młodzieży polskiej kształcenie się we wszelkich gałęziach wiedzy czystej i stosowanej. Jeśli zważymy, że liczne stypendja, ufundowane w Poznanskim i dla Poznanskich, posiadające charakter otwarcie antipolski, a zwalnianie od dość wysokiej opłaty za naukę w gimnazjach i szkołach realnych jest bardzo trudne, dostępnem zaledwie dla 4—5% uczniów, w takim razie będziemy musieli przyznać, że instytucja, zapewniająca młodzie-

ży polskiej stypendja, jest prawdziwym dobrodziejstwem. To też przeciwko żadnej z polskich organizacji kulturalnych hakata nie zionie takta nienawisć, jak właśnie przeciwko założonemu przed 60-ciu przeszło laty „Towarzystwu pomocy naukowej.“ Wobec prawdopodobienstwa zamachu rządu pruskiego na kapitały tej instytucji (a kapitał żelazny Towarzystwa wynosi już około 1,200,000 marek) ulokowane w tym miejscu niedostępnem dla apetytów pruskich.

Dochoły Towarzystwa w roku ubiegłym wynosiły przeszło 85,000 marek. Ofiarność na jego cele stale wzrasta, co świadczy o zrozumieniu zadań instytucji przez szerokie już koła — i to nie tylko inteligencji, ale i włościan, rzemieślników oraz robotników. W roku ubiegłym wydano na stypendja akademików 20,640 m., techników i przemysłowców około 30,000, gimnazystów 27,000 m. Kosztom Towarzystwa kształciło się 458 młodzieńców — w tem 52 akademików, 95 techników, budowniczych, przemysłowców i kupców, 222 uczniów gimnazjów, szkół — realnych i innych średnich zakładów naukowych. W ten sposób dzięki Towarzystwu corocznie konczy szkoły liczny zastęp młodzieży, osiadającej w miastach Poznanskich i ze skutkiem konkurującej w różnych zawodach z inteligencją niemiecką.

Równie doniosłą mogłaby być działalność „Towarzystwa czytelni ludowych“, gdyby się udało wlać w nie nieco więcej ducha nowocześnie. Organizacja ta rozporządza dość znacznymi dochodami — dochód w roku sprawozdawczym wynosił 23,329 m. — mogłaby więc stać się rozdawnicą prawdziwej oświaty, gdyby ludzie nią kierujący nie byli przeniknięci duchem klerikalnym i obawą wzwyższyć, co traci postępowości. Stąd czytelnie, zakładane przez Towarzystwo, zapelnione są w znacznej części lichym materiałem. Jeśli dodamy, że te czytelnie zykowane przez władze pruskie, podlegają często rewizjom, poszukującym czegoś złodziego z hakaty-stycznego punktu widzenia, wskutek czego znaczny dział książek nie ma do nich dostępu — to będziemy musieli uznać, że pożytek ich jest stosunkowo mały. W roku ubiegłym Towarzystwo założyło 49 nowych czytelni i rozosiłało 19,009 książek — liczba stanowczo zanadła wobec wysokości dochodów.

Nowe prawo, a raczej projekt prawa, umożliwiającego zakładanie nowych osad polskich domaczy się coraz mniej — powodem Komisji kolonizacyjnej na polu kupowania ziemi polskiej. Znaczną część majątków, niemogących istnieć dalej, zostala już sprzedana, to też właściciele posiadłości ziemskich coraz oporniej traktują propozycje Komisji. Tem się domaczy fakci, zacierpnięty z tegorocznego memoriału Komisji kolonizacyjnej, że z zakupionych w roku sprawozdawczym 42,000 hektarów tylko 3,067 hekt. (a więc zaledwie 7%) przeszło na jej własność z rak polskich. Ma się rozumieć, że chłopci polscy, nie mówiąc wcale o większych właścicielach ziemskich, w tym samym czasie wykupili od Niemców daleko więcej ziemi. Z chwilą, gdy nowy projekt stanie się prawem, Komisja kolonizacyjna, od której ma zależeć pozwolenie na utworzenie nowej osady będzie panem położenia. Nie pozwalając na parcelowanie majątków pomiędzy chłopów polskich, zniewoliłaby właścicieli do sprzedawania ziemi wyłącznie Komisji. Nie dość na tem, aby dany majątek był sprzedany Komisji, może ona prosto odmówić pozwolenia nawet na parcelację powieży Niemców. Wobec tego już teraz dają się słyszeć głosy niemieckie, ostro krytykujące nowe prawo i zwracające uwagę na to, że wywala ono ogromną zmniejszenie cen ziemi, co znowu spowoduje liczne bankructwa.

Ciekawe, że Komisja kolonizacyjna, najwyższy od Niemców przeszła 39,000 hektarów, od Polaków zaś tylko 3,000, jednocześnie zaznacza w swym memoriale; że pomiędzy ofiarującymi jej swe dobra było 88 Polaków. Po bliższem rozejrzeniu się w dotychczasowych memoriałach Komisji pokazało się, że cyfra 80 kilku powtarza się w nich stale i jest najwidoczniej zwykłą błagą. Inaczej zresztą niepodobna sobie wytłomaczyć faktu, że instytucja par excellence antipolska skorzystała zaledwie z nieznaczącej części ofert polskich.

Ostatni jej memoriał zawiera podsumowanie wyników działalności od do początku roku bieżącego. Od r. 1886 do końca 1903 Komisja nabyła 228,555 hektarów za 175,353,630 m. po cenie przeciętnej 767 m. za hektar. Od Polaków pochodzi 42% całego obszaru 95,713 hekt. od Niemców 58% (132,841 hekt.). Niemcom płacono przeciętnie po 81 m. za hektar więcej.

Komisja zakupiła w Poznanskim i w Prusach Zachodnich:

w roku	hektarów	za mk.	placę przecięt. za h.
1886	11,859	6,762,995	570
1887	15,401	9,071,731	602
1888	10,130	6,949,706	687
1889	4,820	3,265,310	680
1890	7,775	5,104,620	669
1891	8,527	5,789,617	679
1892	8,422	6,222,263	549
1893	8,424	5,271,365	636
1894	6,446	3,530,851	578
1895	7,566	4,320,140	571
1896	3,520	2,282,510	650
1897	4,940	3,303,339	789
1898	14,829	11,478,101	774
1899	18,508	15,350,200	824
1900	16,575	13,486,432	814
1901	17,019	13,728,127	807
1902	22,007	19,094,531	900
1903	42,062	42,344,114	1007

Z ogólnej przetrzeźni 228,555 hekt. rozkolonizowano 116,082 hekt., przyczem do dane na cele publiczne (kościół, szkoły, drogi itp.) 36,000 hekt. W ten sposób dotychczas oddano kolonistom 66,8% całego zakupu. Osiadłono zaś ich 7,530 rodzin. Memoriał oblicza, że wynosi to do 50,000 dusz, ale cyfra ta jest grubo przesadzona, naturalnie dla reklamy; w rzeczywistości liczba tych „dusz“ nie dochodzi 40,000. Memoriał zaznacza, że 20% kolonistów pochodzi z Poznanskiego lub Prus Zachodnich.

Wydatki ogólne Komisji kolonizacyjnej wynoszą 356,000,000 marek, dochoły 54,000,000, tak że wydała z funduszu swego 202,000,000 m. Tak więc osiedlenie każdej rodziny wymagało 26,000 m. wydatku, a jeśli zważymy, że osiedlenie Niemców miejscowych nie mogło wymagać takich kosztów, przeto wypadnie, że każda rodzina sprowadzona z głębi Niemiec, kosztowała Komisję przeszło 37,000 m. Kosztowna, jak widzimy, gospodarka.

Przedmiot.



PAMIĘTNIK.

W obronie Związku robotczego.

Ze szczerą przyjemnością i wielkim uznaniem patrzymy na każdą obłą przywrócenia równowagi sprawiedliwości i naprawienia krzywdy. Zamiar też p. A. Palmirskiego odwrócenia drugą, jasną stronę zartu w Związku robotczym jest dla nas co do swej intencji sympatycznym. Opinia bowiem całej prasy wystąpiła pod prejęciem lub na poświęceniu tej instytucji,

a zwłaszcza jej prezesa; jeżeli nieustannie, to naprawdę będąc jest obowiązkiem i zasługą. Nie możemy jednak przypisać, ażeby artykuł p. p. w *Kurierze Warszawskim* osiągnął całkowicie swój cel bezwzględnej obrony. Autor dowodzi: 1) że przy zmieniającym się corocznie zarządzie pomysłowy rozwój stowarzyszenia przemysłowo-handlowego jest niemożliwy; 2) że zarząd Związku, biorąc na siebie odpowiedzialność materialną za swego uczestnika wobec pracodawcy, musi ograniczać pierwszego w swobodzie opuszczenia posady; 3) że komisja rewizyjna czyni zażość potrzebę kontroli i że gdyby pozwolił każdemu członkowi na przeglądanie ksiąg, musiano by to zużyć 7 godzin dziennie przez cały rok; 4) że Związek nie zaskodził sklepom „Nadziei” w Dąbrowie, gdyż on ma wypełnić innych klientów.

Przedewszystkiem widzimy, że p. P. nie odparł wszystkich zarzutów, stawianych Związkowi roboezemu i jego przeasowi. Powtórę, obliczenie czasu, potrzebnego na przejrzenie ksiąg przez każdego z członków, traci swą praktyczną wartość wobec prawdobopodobieństwa, że takich amatorów znalazłoby się niewiele. Wreszcie rozstrzygnięcie sprawy z „Nadzieją” jest dla nas zagadkowem. Autor pisze: „W równych warunkach Stowarzyszenie spożywcze („Nadzieja”) daje swoim uczestnikom takie dogodności, że żadne przedsiębiorstwo handlowe (a więc i „Związek”) nie jest zdolne z nim współzawodniczyć, gdyż nikt nie zechce pracować dłużej, abyżki swoje rozdzielić między odbiorców. Nadto Stowarzyszenie spożywcze, przez ściśłą łączność z instytucjami przemysłowemi, daje swoim uczestnikom takie ulgi kredytowe, jakich prywatny kupiec w żaden sposób udzielić nie może. Z usług więc Związku roboezego będą niewątpliwie korzystać tylko ci mieszkańcy Dąbrowy, którzy albo nie mogą, albo nie chcą należeć do Stowarzyszenia spożywczego.” To jest — jacy? Wnosząc z objaśnienia p. P., należałoby przypuszczać, że z usług „Nadziei” nie będą korzystali ci mieszkańcy Dąbrowy, którzy nie chcą uczestniczyć w zyskach z bezinteresownej pracy zarządzających, nie chcą brać na kredyty, a natomiast chcą płacić gotówką — wniosek niedorzeczny, który wakuje, że autor czegoś niedopowiedział lub wyraził się niejasno.

Upominając się o bezstronność i wytykając prasie pogardliwe traktowanie większości Związku (która nazwana „ludem”), uderza on ją bezprzebieżnie po alabazie, ale oszczędzając potępnym nawet umiarkowanej krytyki, mimowoli wraz z nimi staje na wzięcieliwym krańcu. Skutkiem tego spór nie został wydobyty z mgłnej topieli.

Ten dom a nie ten dom

P. Pyłkiński, będąc w Konstantynopolu, postanowił zwiedzić dom, w którym umarł Mickiewicz. Szukał go długo — wreszcie znalazł, ale co? „Dom, w którym umarł Mickiewicz” — pisze p. P. w *Gazecie Polskiej* — był drewniany; zmieszany go pałaz d. 5 czerwca 1870 r. Plac nabyli p. R., którzy na nim w r. 1879—1880 wybudowali dom obecnie stojący, o murowanym parterze i pierwszym piętrze, z drewnianym piętrzem drugim.” Czyli, krótko mówiąc, dom, w którym umarł Mickiewicz, nie istnieje. Ale gdzie tam! Właśnie że istnieje, bo w nowym „zachowano ten sam plan i wygląd zewnętrzny.” A to też w r. 1900 umieszczono na nim tablicę pamiątkową, a ponieważ teraz grozi nam sprzedaż przymusowa, więc postanowiono go kupić. Nie zdolano jednak zebrać potrzebnej sumy — zaledwie 5 tysięcy rubli. „Niebezpieczeństwo grozi ustawicznie, a w tej chwili szybko się zbliża.”

Jestem bardzo wdzięczni wszystkim naszym turystom za to, że w wędrowkach

swych po świecie ciągle wynajdują jakieś pamiątki narodowe, które nam każą kupować, nie pytając, czy my nie mamy jakiejś wniośblosy krzywdy niedoli, której przedewszystkiem należałoby pomóc. Ale niechże szanowni wydawcy owych pamiątek każą nam przynajmniej nabywać istniejące. Tymczasem dom, w którym umarł Mickiewicz, apłonił, więc za co my właściwie mamy zapłacić 5,000 rb.? Za miejsce, na którym on stał? Ależ naprzód tego miejsca, do kogokolwiek ono należeć będzie, nikt nam nie zniechęci, powtóre nie ma on z Mickiewiczem żadnego związku, a potrzebie z równa racya powinniśmy wykupić wszystkie drogi, ulice i place, po których on chodził lub na których chwilo-wo przebywał. Według nas, duchy naszych wielkich ludzi byłyby zupełnie zadowolone, gdybyśmy im ofiarowali poważną cześć. Bez nilego sentymentalizmu mogą się obyć.

Pracownia przyrodnicza.

Walka ze szkodnikami lasów, pół i ogrodów tak energicznie i skutecznie prowadzona za granicę, polega u nas na bezradnych i szybko zapomnianych skargach, na powierzchownych artykułach i dorywczych opisach spustoszeń. Wprawdzie wydaliśmy kolorową tablicę owadów, które typiły należały, ale ich nie tępiły; nie wyrabiamy lepu i opasek dla niszczenia mierznic, nie apyskujemy drzew ciężką grzywą, nie zbieramy gniazd roboactwa itd. Słowem mało wiemy, a prawie nie robimy. Abyśmy usunęli oba te braki, założona została przy Towarzystwie Ogrodniczem pracownia naukowa pod kierownictwem poważnego badacza, p. K. Kulwiecia, która właśnie ma zorganizować ową walkę i dostarczyć do niej oręż. Wasyacy, którzy chcą z niej skorzystać, a zarazem jej pomóc, winni dostarczyć wiadomości pewnych i ściślejszych według następujących wymagań: 1) kiedy szkodnik był dotrzeszony po raz pierwszy; 2) w jakich warunkach klimatycznych, na jakiej glebie i w jakim stanie jej kultury; 3) czy występował w latach ostatnich; 4) czy tylko na jednej roślinie, czy na wielu; 5) jakie odmiany roślin szczególnie mu podlegały; 6) czy stosowano przeciw niemu jakieś środki zaradcze; 7) jak go nazywa ludność miejscowa. Rzecz naturalna, że jeśli ogół poprze tę pracownię, odda ona krajowi nieocenione usługi; jeśli zaś nie udzieli jej uwagi, pochłonięty modernizmem, dekadentyzmem i innemi piezarkami estetycznemi, które są hodowane w inspektach szuki — za lat kilka pozostanie nam po niej tylko ową młę wspomnienie, o którym według Danta jest tak boleśnie rozmyślać.

Pod dozorem Berlina.

Nie jesteśmy wielbicielemi rozmaitych instytucji — wywiadowczych, ale przynajmniej, że obecny ustrój życia społeczno-gospodarczego zapewnia niektórym z nich niezbędność. Należą to między innymi: biura referencyjne handlowe, tj. kantory, zbierające tajemne wiadomości o majątkowym stanie kupców. Rzecz naturalna, gdzie istnieje banki udzielające kredytu, tam muszą istnieć sposoby badania odpowiedzialności pieniężnej wystawców weksli. Za granicą powstały w tym celu „biura wywiadowcze.” Warszawa pomimo ogromnych obrotów finansowo-handlowych nie posiada takich biura, ale posiada tu swych agentów berliński kantor „Schimmelfengs,” który na żądanie dostarcza tajemnym interesantom o tajemnych poddanych Merkurego najdrobniejszych objaśnień, niemożliwych do zdobycia na miejscu. Czy on ogranicza swą działalność wyłącznie do stosunków handlowych — jest to jego tajemnicą, ale możemy łatwo wyobrazić sobie, jak pogląda i widuje on nasze życie, jeżeli chce i potrzebuje być „wywiadowcą”

wszeczeństwowym. Nie wiemy, komu należały się dziwić, czy tym, którzy nie stworzyli takiej organizacji swojskiej, czy tym, którzy przeszkodziли wprowadzeniu jej, w każdym razie dziwić się musimy, że Warszawa zostaje pod tajemnym i tak ścisłym dozorem Berlina.

Na powodzin.

Dnia 28 marca odbył się w Filharmonii ostatni koncert na powodzin, z niezręcznych w tym czasie przez Kasa literacką. Przemawiali tam pileci: Aleksander Świętochowski, Antoni Rzękciński i Stanisław Kempner.

A. Świętochowski, niezwykle gość na mównicę publiczną, dał słuchaczom swoim rzadką rozkosz usłyszenia myśli głębokich i oryginalnych, wypowiedzianych pięknie, jedynie i wzięcie. Z treścią odczytu jego o „Uczuciach i tamach postępu” czytelnicy będą mogli zapoznać się w całej rozciągłości w *Pravdzie*. Drugi z kolei prelegent, A. Pilecki, wypowiedział kilka ze swych utworów poetycznych: „W allu wie kobiety,” „Z głębin życia,” „Przeł posagiem Psycho” i „Z dumań wdowca.” Następnie S. Kempner, ekonomista i redaktor *Gazety Handlowej*, wygłosił rzecz o „Egoizmie w ekonomii.” W krótkich zarysach scharakteryzował główne fazy ekonomicznego rozwoju ludzkości, panowanie kapitalizmu, przyznając jednostce prawa nieograniczonego się w handlu i przemyśle na pozysk i zisków bliźniego i wynikający stąd bezwzględny egoizm w gospodarstwie społecznym. Znaczący jednak tworenie się i dobroczynną działalność przeciwnych temu kierunkowi bodźców humanitarnej polityki gospodarczej, zapowiadających zwycięstwo zasady dobra powszechnego w życiu społecznym przyszłości.

Kiedyż będzie inaczej?

Przeżywamy rok straszny w istocie. Nasępstwa głęsk, które spadły na kraj w ciągu tego czasu, najboleśniej dotknęły ludność ubogą. Brak pracy, głód, nędza, rozpacz rozgosiły się tam, gdzie ludzie, żyjące z lichego zarobku, nie mogli myśleć w najlepszym nawet czasach o jakimś zabezpieczeniu na przyszłość, dziś zaś żyją jeszcze im ciężiej, niż kiedykolwiek. O pracę niesłychanie trudno: coraz mniej ludzi zatrudnionych, coraz więcej bezrobotnych, zgłodniałych i rozpaczonych — a więc na wszystkie gotowych. „Drożyna artykułów żywności dawno już nie dała się tak we znaki — pisze *Warsz. Dziennik*.” Podrożenie cen chleba, kapusty, a głównie ziemniaków, postawiło uboższą ludność w położeniu fatalnem. Lombardy prywatne przepelnione są fantami, a to, czego zastawie nie sposób, zjawia się na targu starym na Szwernyrowie, dokąd co niedziela biedacy znoszą swoją chudość na sprzedaż. Ale chociaż rzeczy oddawane są za bezcen, nikt kupować ich nie chce. To do pewnego stopnia tłonaćcy powiększenie się liczby kradzieży, z których wiele zdumiewa swoją zwuchalnością... Instytucje dobroczynne niosą pomoc drobnej liczbie ubogich, lecz i to z trudnością.”

Czyż wobec tego obrazu niedoli w sercach stych, dobrze odzianych, dostatekni mieszkańców, nie budzi się gromca potrzeba czynnego współdziałania? Tysiące biedaków cierpi głód, nędzę — o tem powtarzają nam ciągle, a my słuchamy, litujemy się i — na tem koniec. Martwe nasze duże niezdolne są do czynu. Cudzego bólu nie umiemy odczuć i młdej naszej woli do działania zmusić. A jednak powinniśmy raz zrozumieć, że niewolno aytym zapominać o tych, którzy mrą z głodu.

Salus publica.

Znany ekonomista niemiecki, Schmoller, wypowiedział niedawno bardzo charakterystyczne twierdzenie: „Zgodnie z opinią

mego stronnictwa, jestem zdania, że skoro rząd nadanie mu takiej kompetencji uważa za konieczne dla spełnienia wielkiego dzieła kolonizacji krajów wschodnich, to my powinniśmy przystać mu to prawo, albowiem ponad wszelkie skrupuły sprawiedliwości jest tymczasem *salus publica*. Ciekawym jest fakt, że profesor niemiecki zdawał się prawą krytykę, uznając za niezbędne wszystko to, „co rząd uważa za konieczne”, a zatem sprzeczność parlamentaryzmu do biurokratycznego podpisywania wszystkiego, co daje do podpisu. Druga część owego rozszerzenia innej nas powinna dziwić, a myśleliśmy nieraz to hasło. Pojęcie „salus publica”, wyprowadzone z koncepcji abstrakcyjnej państwa, a nie z żywych potrzeb jednostki, z których się przeciwie każdemu państwu składa, usuwając na stronę jakąś tam „sprawiedliwość” i na jej miejsce stawiając „egoizm narodowy” — to znana piosenka rozciłał ożniałego się nacjonalizmu. Słyszeliśmy ją tyle razy i z tylu ust...

Konkurs.

Obecnie w „Salonie artystycznym” rozstrzygnięto konkurs, który po za kwestyą ogólnego znaczenia konkursów w rozwoju sztuki nosiwa pewne pytanie natury bardziej spójnej. Przedmiotem konkursu były obrazy religijne. Tego rodzaju obrazy odegrały w dziejach malarstwa nowożytnego wielką rolę. Na samym początku tych dzieł, kiedy cała energia niepokojącego ducha ludzkiego wyprowadzała się w ucieśnieniu asocjacyjnym, kiedy wyznaczenie kształtowało wyłącznie jaśnie ludzkie, powstały pierwsze obrazy, pierwotne pod względem techniki, lecz silne i wzruszające szczerą bezwzględnością wiary. Młodzież Odrodzenia światopogląd dawny poczęła zanikać. Po wahanich, przeważał nowy duch czasu. Ciobiec zbliżył się do niego i do samego siebie. Wyłoczne panowanie asocjacji zniknęło. Nowi artyści tylko już trzęsł zewnętrzna, tonali orali z biblij, po za tem obraz ich się do dzieła kultury innej, wychylając się daleko po za średniowiecze... Czy obecnie, w czasach tak odległych od doby, kiedy Eklezja z moją dźwięcznością obywateli, uważając się za kapłana, pełniącego służbę bożą, może być mowa o obrazach, malowanych przez ludzi wyznawców religijnych, bo przeciwie chyba tak pojmują artyści konkursu na „najlepiej malowany obraz”, na który nadesłał swoje prace. Życie obecnie tak się rozwinęło, tyle nowych pierwiastków pojawiło się w kulturze, że niema ludzi, których całość duchowo-psychiczna byłaby kształtowana tylko przez wyznaczenie religijne, więc czy może być mowa w XX wieku o tego rodzaju obrazach?

ten fakt łatwo bez szukania go po za sobą. Niezawodnie każdy z szan. słuchaczów posiada w swej duszy skarbnicę, gdzie przechowuje cenne klejnoty pewnych pojęć, zasad i reguł, których nie używa w życiu codziennym, lecz przystając się nimi tylko na wystąpienia uroczyste, kiedy chce okazać swe bogactwo duchowe. Wie on również, że pominięty temi ozdobami a zwyciężają przybraniem unyślni zachodzi nie tylko różnica wartości, ale nadto odmiennosć w przeznaczeniu. Przypuśćmy, że ktoś doskonale przenika i należycie ocenia całą dosadę obecnego wychowania domowego. Przyznaje on, bo wielokrotnie i dowodnie przekonał się, że są rodzice, którzy wcale nie zajmują się swoimi dziećmi; że są inni, którzy improwizują najdziwniejsze metody postępowania z niemą; inni, którzy je zniewierają, krzywdzą i tyraniują; inni, którzy je czynią ofiarami szalonych wybrków swej fantazji, wybuchów rozczulenia lub gniewu. Przyznaje dalej, że urabianie młodych organizmów, z natury bardzo złożonych i wrażliwych, jest pracą niezmiernie trudną, której podobać może tylko wrodzona zdolność, połączona z odpowiednią widzą. Przyznaje wreszcie, że takie zadanie pomyślnie dalaoby się rozwiązać jedynie przez uzdolnionych i ukształtowanych specjalistów w oświatnych zakładach pedagogicznych, w których dzieci byłoby zabezpieczone od wpływów ciemnoty, złości, uprzedzeń, samowoli, zepsucia a poddane spokojnemu, zrównoważonemu oddziaływaniu rozumu i czułej opieki. Wszystko to ów człowiek w teorii przyznaje: mimo to gdyby mu poradzono, ażeby do takiej instytucji wychowawczej oddał swoje małe dziecko — nie zgodziłby się. Dlaczego?

Zobaczmy tę zagadkę w drugim przykładzie.

Kto jest szczerzym i bezwzględnie zwróceniem równoprawniczką kobiet. Wiele o tej sprawie czytał, wiele nad nią rozmyślał, wiele dla niej materiału życiowego zebrał i ostatecznie doszedł do przekonania, że trzeba umysł kobiety rozwinąć z mroków, trzeba z jej woli zdjąć pięta, trzeba jej otworzyć szerokie pole pracy, ażeby na niem zdobyła środki do walki o byt i ujawniła swoje siły. Tak zwana logika rozumowań, tak zwany ich zdrowy rozsądek, tak zwane argumenty, mające rozstrzygnąć o stopniu i kierunku uzdolnień niedwieściach, są tylko azurkami szklanych pałoczek, dętych frazesów, nanizanych na nie białe lub czerwone barwy. Dopiero samo życie po rozrozdzeniu starych plotów, po rozebraniu olśniewających, kojących, po zasypaniu głębszych rówów, które obie płcie są rozdzielone, może nauczyć, co natura im dała i co społeczeństwo przynależ im powinno. Pierwszym tedy obowiązkiem naszym w tem wielkiem doświadczeniu jest zapewnienie mu najszerszych granic i największej swobody, drugim — czynne współdziałanie w jego wykonaniu. Ponieważ zaś niema człowieka, któryby w zakresie swej władzy i wpływu nie był bodaj maleńkim prawodawcą i maleńkim reformatorem, więc każdy, przekonany o słuszności praw i zadań niewieści, winien pomagać do ich spełnienia. Tak sądzi obrońca emancypacji kobiet. I równocześnie, gdyby zobaczył kobietę w roli adwokata, uśmiechnąłby się złościwie i nie powierzyłby jej swojego procesu. Dlaczego?

Zastępcy jeszcze innych przykładów. Ktoś szczerze poddał się teorii altruizmu i wziął od niej przekonanie, że dążenia samolubne nie pozwalają człowiekowi wznieść się po nad poziom instynktów zwierzęcych, że są wieczne głodne i po chwilowym zaspokojeniu nie dają zadowolenia. W ustawicznym posęgu za korzyścią własną dąca dziecko, jej energia zużywa się na miszerne zachody, jej spokój

mać się ciągnąć tworzą, jej czystość kalu się nieprawościami, których plany wykrętnie umiennie zmywa, ale ich doszczętnie wywabić nie może. Tymczasem wola rodzica dobro dla bliżnich, wrażliwa na pobudki społeczne, posłuszna sprawiedliwości i współczuciu, ma w sobie głębokie źródło szczęścia. Ktoś — mówię — wyznaje ten pogląd i zarazem nie może się wydłamać z pod władzy egoizmu. Dlaczego?

Ktoś wreszcie nie odmawia zasadności paleniu zwłok ludzkich, nie wierzy, ażeby kiedykolwiek po śmierci musiał wdziać materialną powłokę swego ducha i nie przenzy, że za życia całkiem strawi i wchłonie; a jednakże nie oddałby do krematorium za przykładem Spencera ani swego ciała, ani drogiej mu osoby. Dlaczego?

Psychologia już ogólnie odpowiedziała na te pytania. Siła, skłaniająca wolę do objawiania się czynnie w takim lub innym kierunku, może mieć rozmaite rodowody, ale zawsze dla osiągnięcia tego skutku musi zamienić się na uczucie. Samo rozumowe poznanie jakiejś prawdy nie jest dostatecznie sprężyną do wywołania odpowiednich jej czynów. „Uczucia” — powiada Wundt — są bezpośrednimi pobudkami (motywami) działania woli. Wszelkie inne stany wewnętrzne mogą na wolę wpływać tylko o tyle, o ile przejdą w uczucia — czyli — mogą być jedynie pośrednikami jej pobudkami. „Uczuciami pierwotnymi świadomości posiadają rozstrzygające znaczenie w rzeczywistości jej objawów, w których musi być zawsze obecna jakaś ochł lub niechęć, a obie znowu łączą się z przyczynami lub przyszkocami. Człowiek nie działa raz według bezpośredniego uczucia, a drugi raz według rozumu (refleksji), lecz zawsze według uczucia” (Erl. 376, 537). „Myśl sama przez się — pisze Ribot — jako prosty fakt świadomości, nie posiada żadnej siły, nie może niczego dokonać. Działa ona tylko wówczas, gdy jest odczuła, gdy towarzyszy jej stan uczuciowy, gdy pobudza dążności, tj. pierwsiatki ruchowe. Można gruntownie przestudiować *Praktyczny rozum* Kanta, przeniknąć wszystkie jego tajemnice, opatrzyć rozumiejącymi nam światło komentarzami i uwagami, nie dawałszy ani krzyku do swej moralności praktycznej — pochodzi ona bowiem zupełnie skądinąd. Umysł może znaleźć nową prawdę, uznać ją za zgodną z naturą rzeczy; lecz wszystko to pozostanie teoretycznym, tj. pozbawionem tonu wzruszeniowego i dążności do urzeczywistnienia się” (Psych. ucz. 21, 229). „Pierwsiatki poznania” — mówi Höffding — samo przez się nie poruszają woli... Nie możemy myśleć nasza doprawdy konsekwentnie do końca, uczucie bowiem nie chce rozszerzyć się po za swój przedmiot pierwotny. Jeżeli Grey nie obejmował swoją miłością bliźniego barbarzyńców, nie pochodziło to z ciemnoty umysłowej, lecz uczucie narodoie tamowało w nich konsekwentne cieżniz. Chryzjanizm obalił te zapory również nie swoją przewagą umysłową, lecz za pomocą głębszych wzruszeń uczuciowych. Wynik, do którego myślenie logiczne zdaje się doprowadzać nas w ciągu jednej minuty, zajmuje w historii długi okres czasu... Uczucia są to zbyt ciężkie masy, ażeby nim można operować skoro znalazły sobie punkt ciężkości, niełatwo zmieniając swoje położenie” (Psychol. 121, 310, 378).

Poznanie też, przybierając postać zdolną do oddziaływania na wolę, wytwarza odpowiedne uczucia, zwane uwolnieniami (intelektualnymi), a nawet logicznymi, które — zdaniem Titchenera — grupują się około sądów, dotychczasowych prawdy i fałszu. Uwidocznia nam to przemianę prosty wypadek. Znamośmy zaślub jakiegos bohatera wyznanek uczuć (zaznaku, wdzięczności, uwielbienia itd.), które zwykle znajdują swój wspólny wyraz w pomniku publiczn-



Uczuciowe tamy postępu.

(Rozszerzony odczyt na powołzian).

teoria postępu się szybko, a praktyka — powoli. W swym pochodzie życie zalodnie dojrzeć może zdaleka blask światła biegnącego przed nim naki; że ono nie raz długo ocziga się z przyjęciem prawdy, które mu ona jako drogowskaz na swych śladach zostawia — to spostrzegać możemy ucięteli ludźle. Ale że podłoma nierównosć ruchu postępowego między życiem a rzeczywistością w każdej niemal jednostce człowieczej — to jest dla ogółu mniej widocznem. A przecież stwierdź-

nym. Otóż przypuścimy, że badania historyczne odkryły wiarogodny dowód, świadczący, iż ów bohater oszukał współczesnych i potomnych, że maską patryjotyzmu zasłonił swoją zdradę. To odkrycie dałoby początek uczuciu zgory, które pobudził wolę ogółu do usmiecia pomnika. Albo też przypuścimy odwrotnie, że nieślawca Górcia lub Bazajna zostanie nie tylko jakimś dokumentem stanowiącym z niego zdziła, ale nadto przynajmniej mu będzie wielka chwala; z tej prawdy zrodzi się uczucie niesłusznej krzywdy i potrzeby naprawienia jej, które skłoni rodaków niewinnie potępionego do wzniesienia mu pomnika.

(C. d. n.)

A. Świętochowski.

Kronika historyczna.

Maksymilian Baruch: *Pabianice, Regio i state oku-*

(Dokończenie).

Pierwotny obowiązek, t. zw. *jurtyzna*, polegała na uprawianiu przyległego do wsi pola (Mługsz). Z każdej chalupy wysyłano codziennie jednego robotnika. Osiedli na drobnych kawałkach gruntu zagrodzili, odrabiali jeden dzień w tygodniu. Robocizny od XV w. poczęto skupywać. W XVI w. wieksość wsi odrabiała 2 dni w tygodniu, reszta — przeważnie 12 dni w roku i okup. Z biegiem czasu, gdy rosła ludność, chłopci siedzący na łanie, przeszli na półłanki. Kapituła roztępnęła (1531 r.), że powinności robocizny pozostają w tym wypadku niezmiennie. Od XVII w. kmicie z półłanka pracują 4 dni w lecie, 3 dni w innych porach; do żniw, woszenia siana, do robót wozowych po dwójce; do wleczby dwiema brzoiami. Zagrodniccy robili dwa dni na rok. Chalupnicy i komornicy 2 dni w lecie, 1 dzień w zimie na tydzień; gdy nie mają ogrodów, 1 dzień na tydzień przez cały rok. Powinności podwodowe wliczano przeważnie w czas roboty pasterczyżnianej.

Inne usługi: 2) zwózka drzewa lub czynsz drewnego; 3) przedziegnię płótna (*oprawa*); 4) grodzenie pastwisk, naprawa grobli, szwarzaki; 5) *sep* owsa albo pszenicy lub czynsz pszeniczny; 6) owies „stacyjny” (przymiomy lustratorów); 7) *obiedno* (dla tychże), również na czynsz zamienione; 8) owies *żołędny*; 9) *wocyno* (dania konopi); 10) dwa kapłony i pół kopy jary; 11) danina od drzewa zwieszonego — albo czynsz *łwowy*; 12) danina miodu od *barci*, później czynsz *barciowy*; 13) powinność łowicza. Wreszcie spocynałe daniny pozagrodnicze wsi.

Czynsze pieniężne, prócz wykupu od robocizny, były: ogólne (przeważnie po 30 gr z łana), i poszczególnie: od ziemiaństwa, z łak, za drzewo z lasów, piarskie.

Daniny te, jak widzimy, rosły z czasem. Owce *obiedno*, owce *żołędne*, ograniczone do tych, co pasali trzodę, *barci*, do tych, co trzymali pszczoły, później, zamienione na monety brzożczące, rozciągało się na wszystkich. Ciężkie powinności poboczne, o których autor bez dowodu twierdzi, że odrabiano je zwykle za dzień (str. 132), cięższe jeszcze daniny w naturze, czy pieniężnych widocznie pogarszały stan rolników, i tak 2 do 3 tysiące dni tygodniowo na swoją robotę mających.

Gdy uszczuplono obok tego wolność miast, gdy zamiast dawać pomoc rzemiosłom, czy przemysłowi, obciążono je albo konkurencją dworską, i ograniczaniem (np. gorzelnicą), albo daninami rolniczymi (m. in. młynarstwem), gdy w tym stanie uszczuplenia intensywności pracy wewnątrz-

nej, nazępnątną nastąpił czas niepokojów i trwogi, przechodziły owe burzany dziejowe, które wstrząsnęły w posadach całego państwa, gdy w trop za nimi przyszedł chłob i głód, wówczas nie oparla się silna organizacja włóści tym kłębom, jak nie oparla się wprzód i oprócz nie mogła ogólnej polityce ziemianskiej.

Kapituła musiała dopłacać do swych dóbr i utrzymywać je z trudem. Miasta upadły. Pabianice, liczące w 1666 r. 163 domy, liczyły ich w 1677 r. — 87, w 1707 r. 54. Rząd, liczący w XVI w. 175 domów, liczył ich w 1677 r. 123, 1737 — 51. Przejściowy wojsk pruski i rosyjskich dopełniły dzieła.

Nastąpiła jeszeze krótka chwila pomyślna, jakby światło nowego dnia. Zreorganizowała się administracja rozłożona, odzyskała pracę kolonizacyjną. Dochody wzrosły do niebywałej przedtem sumy 130,000 złp.

Nastąpił rok 1793. Sejm grodzicki błagał króla o zachowanie majomości kapituły. Stanisław August przyrzekł poparcie starożytności „nagrodę straty.” Sejm postanowił, aby biskupstwo krakowskie wypłacało kapitule równoważnik dochodu z dóbr; Oznaczenie sumy powierzono komisji skarbu. W dwa lata później biskupstwo krakowskie przeszło pod panowanie i na własność austriacką.

Reskryptem 28 lipca 1796 r. o inkameracji dóbr duchownych kapituła zawiadomiona została o ostatecznej swej stracie. Dalej ciąg smutnej historii stanowią naturalnie bezskuteczne kolatania do kas dwóch sprzymierzonych w dzieło państwa i do zbytu na wspólne dochody cywilnych gabinetów dyplomatycznych. W r. 1798 hr. Hoym, minister, zarządzający Prusami podłudniowymi, przyznał kapitule 30,000 zł. tytułem odszkodowania za pozostawienie ruchomości majątek pabianicki*).

Z czasów pruskiej autor przytacza interesującą wiadomość o wynikach polityki kolonizacyjnej w Prusach południowych: mianowicie konystarz protestancki, Kaliski 19 kwietnia 1803 r. liczy w 27 miejscowościach okolicy pabianickiej około 1,000 dusz protestanckich; parafianie... składają się wyłącznie z niemieckich gospodarzy z metropolii, osiadłych od lat 10 w tym ampie bądź koloniami w lasach, bądź na pustych gospodarstwach chłopiech. „Za czasów Księstwa Warszawskiego imigracya ta była w dalszym ciągu a skutecznie popierana; za Królestwa Kongresowego przyczyniła się do rozwoju i taktwa i do nadzwyczajnego wzrostu Pabianie w latach trzeciego dziesięcia XIX w. Publiczna część dóbr stanowiła oddział własności rzadup panującego.

W możliwie rzeczowym i krótkim streszczeniu staraliśmy się podnieść pozytywne dane niniejszej książki. Na zakończenie należy, choć negatywnie, stwierdzić jej braki, zastrzegając się jednakże, iż wyczerpująca w tym względzie recenzja jest niemożliwa bez osobistego wejścia w źródła. W tej wiadomości podkreślił przedewszystkiem braki natury metodycznej.

* Uchwałę sejmu grodzickiego dobra kapituła w r. 1797 mającej przejsz na własność Prus... E. biskup infandzki, jako administrator dóbr biskupstwa krakowskiego, po upływie lat czterech (biskup) wypłacił kapitule z dochodów dóbr biskupich ekwiwalent w takiej sumie, jaka kapituła uzyskała... ściśle wykonanie niniejszego poruczenia komisji skarbu...

Tymczasem, 1795, następuje trzeci podział. Dobra biskupstwa krakowskiego przechodzą pod rząd kas rany austriacki; jednocześnie, 28 lipca 1796 rząd pruski „inkameruje” Pabianice.

Kapituła pobiera wszystkie drogi: od herona de Margell, namiestnika Królestwa, aż do cesarza Franciszka II (1798); w 1798 zwraca się do ministra Prus Południowych Hoyma; 18 lut. 1799 za pośrednictwem zarządu Galicyi Wschodniej przesyła memoriał do króla Prus. W 1803 otrzymuje 30 złp. odszkodo-

Uderza nas niemile dorywcze opracowanie niektórych poszczególnych rozdziałów, przedewszystkiem wzianki geologicznej i geograficznej (bez mapy!), dalej ustępów, dotyczących się mieszczanstwa i — w ogóle — dziejów włóści od drugiego rozbioru kraju. Tutaj dochodzimy do dwóch zarzutów zasadniczych:

Autor powinien był — zgodnie zresztą z tytułem — ograniczyć się na przedstawieniu dzieł „dóbr kapituły.” Rok 1793 oddziela dwie epoki, które napewno, każda w sobie, w odrębnym kształcie i rozmiarach zasługują na opracowanie. Ale należało poprzestać na jednej części — w danym wypadku na pierwszej, aby w rozmiarach zwyczajnego tomu powiedzieć dość. Mówimy o poprzestaniu na pierwszej epoce, bo drugiej autor zaledwie się tknął w rozmaitych miejscach, zacienniając tem zresztą główny wyprzedmiot. Dla opracowania wieku XIX nie myślimy, aby Pabianice mogły pozostać centrem.

Drugi nasz zarzut dotyczy się metody autora w opracowaniu i układzie dzieła. Przez wskazaną powyżej zbytnią wielostronność autor uszczuplił część pierwszą, najważniejszą; widzimy to, zestawiając poszczególne rozdziały z zamieszczonymi w końcu regestrami. Widzimy w skonczonej, jak sam autor przyznaje (str. 71), rozdziale o lustracjach. Fakt ten, że nie został wyczerpany materiał rękopiśmienny, czego od monografii mamy prawo wymagać. Gorzej jest z układem raz zgromadzonego materiału; autor dał nam przedewszystkiem ogólnikowe i bardzo pobieżne dzieje włóści (rozdział I); następnie omówił sprawy zarządu, które najzupełniej w ogólne dzieje włóści wejśćby mogły, udzielać prztem i atawiając osobno niekompletny zresztą rozdział o sadownictwie (mowa tu np. o karaniu na gardle bez wymienienia faktów); samo dowodzenie wytoru na każdym kroku nas przekonywa, że władza administracyjna była niepodzielnie złączona z sadownictwem, że pojocia o nich nawet są nierozdzielne, a zatem po co je segregować i sztucznie rozłączać.

W rozdziale III-im autor mówi o ludności, ziemi, stosunkach kościelnych, w IV-im o stosunkach ekonomicznych. Wiece stosunki społeczno-prawne, bada przed ekonomicznymi; stosunki publicznie i polityczne przed wszystkich. Sądzimy, iż układ ten jest odwrotny do układu, jaki jest niezbędny dla jasności i gruntowności w przedlatowaniu rzeczy historycznej.

Część druga, o układzie encyklopedycznym — nad wszelką miarę rozwinęła, w połowie winna się mieścić w układzie ogólnym.

Stąd niezliczone powtarzania, np. o prawie niemieckim, o założeniu włóści, o wizytach królewskich, o daninach miejskich, o wysokości czynszu dzierżawnego, o przemysle i handlu itp. Stąd niejasność w tekście — wiele ciemnych początków dla nas ogólniejszym wyjaśnieniu się o wiele dalej; tak się na np. z wykupem wojówstw, zaznaczymy, jako ważny fakt dziejowy w rozdz. I; tak z różnicą dóbr kapitułnych — prebendy, prebendalnych i wspólnej masy (wyjaśnijmy dopiero na str. 113); tak z trzy razy po trzykroć odmiennie przedstawioną kwestyą miasta, czyli wsi Brusa.

Okończoność lagodząca jest, że metoda opracowywania monografii, jak rzekliśmy na wstępie, u nas właściwie dotychczas nie istnieje. Pierwsze próby usystematyzowania prac monograficznych znajdujemy u obcych, i przynależały, dotychczas, wcale z nich u nas nie skorzystano*).

* Wychozące od r. 1800 w Göttingu pod redakcją wybitnych uczonych współczesnych, między innymi K. Breysig i Lamprecht, „Deutsche Geschichtsbilder, Monatschrift zur Förderung der laudenschen Forschung.”

wina — po stronie narodu, mało i dzisiaj jeszcze kulturalnego. Sądzę, że chyba zdanie Krasieńskiego musiało mieć dla poety większą wagę, niż zdanie ogółu. Gdyby Krasieński nie miał być słusznosci — musielibyśmy nie jego, a ogółu emigracji, uznać za genialny. Ale jaki zachodzi związek między załam Słowackiego a „Grobem Agamemnona”? Tu wiadać jak na dłoni, dokąd prowadzi badanie, podjęte z uplanowanym *a priori* wyrokiem. Prof. Tretiak wyrwa z tekstu „Grobu Agamemnona” poszczególne słowa i kuje z nich wnieosek, że poeta chciał zhańbić społeczeństwo za objętość dla jego poezji, a w dalszym ciągu rzucić na nie klątwę za brak patriotyzmu. Jak to gromy potępienia — powiada prof. Tretiak, jak to oburzenie na brak w Polakach Leonidaowego meztwa niestosowne było w ustach Słowackiego, którego rola w czasie powstania listopadowego w żadnym razie zaszczyna nie była... (str. 86). A więc — rozumiemy dalej — Słowacki nie miał prawa pigmować narodu, „zupeln” zapominałszy o swym wyjeździe z Warszawy” (str. 87). Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie jedno zdanie z „Grobu Agamemnona”, świadczące, że Słowacki wcale nie zapominał o swoim wyjeździe z Warszawy.

Mówię, bom smutny i sam pełen winy...

A zdanie to zadaje kłam cały poprzednim krótkakim wywodowi prof. Tretiaka. Co tu zrobić, aby utrzymać swój wniosek? Prof. Tretiak chwytą się sposobu wprost humorystycznego, mówi, że wiersz ten spowodowany został „potrzebą rymu.” (str. 88). Słowacki — i potrzeba rymu? Toż nawet dziecko w to nie uwierzy. Co zatem warte całe kilkunastowcowe dowodzenie prof. Tretiaka wobec tego jednego wiersza? Tyle, co dym z komina. Takich karkołomnych a nacąganych wniosków mamy w tej książce mnóstwo. Wybieram najdramatyczniejsze, wykazujące niemawist, jaka kierowała autorem przy formułowaniu sądu o poecie.

Dr. St. Zieliński.

ZE SZTUKI.

Wystawa Okręgna. — Wystawa projektów konkursowych na plakaty.

Za granicą, gdzie się tylko sztuka rozwija, powstają grupy i grupki artystyczne, łączące się w zwarte kółka i zarządzające wystawami własne.

Idealen tych związków jest bądź specjalny pogląd na sztukę, łączący członków, bądź uprawianie jakiej wspólnej gałęzi sztuki, a zasadą i celem — wyodrębnienie się od reszty artystów, uznanej za niegodną.

Zalawano się, że artysta nie powinien być cięgiem, gdzie go nie zapraszają, tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie: czyni się największe wysiłki dostania się do tych wystaw, które najbardziej grożą odrzuceniem.

Zrzęta nie będą oskarżać artystów: w podobnych wypadkach postępują tak samo wszyscy ludzie: literaci prę się do nieprzyjemnych kółek redakcyjnych, ludzie światowi ubiegają o zaproszenia tam, gdzie im ledwie jednę polowę drzwi otwierają itp. Wprawdzie, kto się nie dostał do upragnionego środowiska i nie zdobył nagrody na konkursie, medalu na wystawie, zaproszenia na bal lub polowanie, ten najęśniej przybiera minę króćcowego demokracji i z lekceważeniem odzywa się o wszelkiego rodzaju przywilejach, wyróżnieniach itp.

Niech jednak szczęśliwie przekroczy upragnione podwoje, a prawie zawsze sta-

ranie ja za sobą przymknie, monologując: „dźnia naprawiono krzywdę, której od tak dawna doznawałem, instytucja się zrehabilitowała, ale też nie należy tu wpuszczać byle kogo. Postaram się, żeby inni oczekali przynajmniej tak długo, jak ja, a wyjątek zrobię dla młuch uczniów i protegowanych. Nie przez miłość dla nich, bo niecierpię tych, co się silą mnie naśladować i prześlęgać, ale dla pokazania mojej władzy i siły.”

W tym frazesie znajduje się cała odpowiedź, dlaczego wystawy artystyczne, zamknięte w ciasnym kółku jakiejś „szkoły”, budzą takie podziwne pragnienia szerszego ogółu artystów, którzy pozostają obojętnymi dla wystaw zorganizowanych na szerszych podstawach możliwej sprawiedliwości i dopuszczających każdego, bez protekty i legitymacji.

Tylko prawdziwe talenty i prawdziwe charaktery kpią sobie z wszelkich kółek i kółeczek i wystawiają tam, gdzie im się podoba, gdzie szeroka fala swobody i niezależności twórczej zostawiają jest każde-mu wystawcy. Takich jednak ludzi jest wszędzie mało i dlatego nie znajdujemy, żeby ich było więcej między artystami, niż gdzieindziej.

Wystawian, które chcą puścić sztukę tylko wąziutkim strumieniem i to płynącemu koniecznie przez ich własne podwódko, są: krakowska „Sztuka” i warszawska „Wystawa Wiosenna”. Pierwsza jest już wielomną panią, zaszczyconą przez wielkich i mającą środki do urządzania sporego o sobie halasu nawet za granicą; druga jest jeszcze poneyonareczka, stawiająca pierwsze, nieśmiśle kroki, choć w ambucyach chciałaby dorównać starszej siostrze.

Otóż, wręcz przeciwnie zasądzić znano imie gromy artystów i pod wodzą Jacka Malczewskiego ogłosiło coroczne wystawy „Okręgna”, których drzwi mają stać otworem dla każdego artysty polskiego. Przez z kółkami i zamkniętymi koteryami, monopolizującami na własny użytek to, co powinno być zdoływane wspólną pracą dla wszystkich, a przede wszystkim dla naszej Sztuki! Zdawało się, że takie hasło powinno było się rozleść echem szerokim i nikogo nie pozostawić obojętnym. Tymczasem stało się inaczej i prawie, że się tak stać musiało.

Oprócz kilku inicjatorów, jak Jacek Malczewski, lub kilku wybitniejszych artystów, których „Sztuka” i „Wiosna” pozwoliły sobie pominąć w zaproszeniach, spotykamy tu samych młodych, co byłoby zrzęta bardzo sympatyczne, gdyby nie dali w znacznej części prace pobieżnych i zdawkowych. Wprawdzie niema tam rzeczy zupełnie złych, ale też niewiele jest takich, któreby mogły specjalnie zaoferować. Naturalnie, trzeba zrobić kilka wyjątków. I tak Wojciech Koskack dał „Wiosna 1813,” obraz czerpiący swój nastrój nietylko w symfonii barw, ale i w treści przedmiotu, z którą idzie w parze doskonała technika i charakterystyka typów ludzkich i koniekich. Trupy żołnierzy francuskich, leżące przez całą zimę pod śniegiem, ukazują się teraz na powierzchni ludu w miarę, jak wiosna przegrzewa. Trzech przejeżdżających kozaków spotrzęga ten epilog strasznej tragedii i zegnają się zaobnośnie.

Własną wystawę prace Malczewskiego niedawno widzieliśmy w Zachęcie, nie mogło więc jednocześnie wystąpić okazale na „Okręgna”. „Jubilusz” jest częstem powtórzeniem tej samej siwej głowy młoczej z typową muzą Malczewskiego o potężnych ramionach i niewielkiej głowie.

Leńtra trzy portrety mężkie są wyraziście, ale nie stoją na tym stopniu, jaki już sobie zdobył autor, jako malarz portretowy. Wszystkie trzy głowy nie mają barw własnych, ale wspólną, narzuconą im przez ar-

tystę. O subtelnościach trudno też mówić przy nich.

Sród roju naziwisk młodych i najulodzonych jedno z najcenniejszych prac dał Zygmunt Żelazowski. Na jego „Ityaku” doskonałe oświetlenie popołudnia letniego, ciepło i cisza w naturze, a postać samego rybaka dobrze i energicznie traktowana. Zato tegoż samego autora „Po południu”, wyobrażające chłopkę z dzieckiem sród łanu zbóż, oddane jest zupełnie fałszywie. Odrzuć rzęca się w oczy, że artysta namalował dobre studium figur, a potem dorobił to z rozległych łanów łuk i zbóż. Tymczasem zamiast zbóż utworzyła się jakaś ściana pionowa, przylepiona do figur, bez prawdy i przestrzeni.

„Łato” Włodzimierza Tetmajera jest barwne, pełne życia i plastyki.

Spotykamy tu też gromadkę prawdobnych uczniów i naśladowców Stanisławskiego. Te same „niby szeroko” malowane pejzażyki, kubek w kubek do siebie podobne.

Portretów wyróżniają się: Jana Styki portret synka z psem, malowany cokolwiek po akademicku, ale z dużą subtelnością w utrzymaniu całości; pani Mutermilichowej portret męczyzny i „Dzieci” zasługują na uwagę; pani Attieslanderowa dała studium portretowe damy; jest bardzo zrzęcie skomponowany i obmyślany portret pani M. W. Kazimierza Wasilkowskiego. Dobrą notatkę główki dał Władysław Przybyłowski.

Trudno wylizać wszystkich, bo o każdym dalaoby się powiedzieć słówko pochwały, ale zawsze prawie z jakimis zastrzeżeniami.

Z krajoobrazów do lepszych należą: Stefana Filipkiewicza „Zima”, Stanisława Fabiańskiego „Dębinki”, Stanisława Kamockiego „Pont Neuf w Paryżu”, Henryka Uziembly „Wschód księżycy”, Stanisława Jarockiego „Sierpień” itd.

Nie należy też pominąć miłośnieniem wystawy projektów konkursowych na plakaty dla firmy Wedla, jakie urządziło Warsztaty Artystyczne w salach Zachęty. Nadesłano z górą setkę projektów i, jak to zawsze bywa na konkursach nie tylko u nas, ale i na całym świecie, większość prac okazała się słabą.

Wystawy jednak takie mają wielkie znaczenie dydaktyczne, bo pozwalają na porównania i zmierzanie sił własnych, publiczność zaś dowiaduje się tu drogą, że afisz ilustrowany jest dziełem sztuki, często bardzo ciekawem, że nie każdy nawet zdolny artysta potrafi skomponować rzecz dobrą. Z tej setki prac nadesłanych kilka-dwie kilkanaście zasługują na jakąś uwagę, a i z tych trudno byłoby wybrać kilka w zupełności odpowiadających wszystkim wymaganiom, jakie stawia się afiszowi, a mianowicie: wyrazistość i prostota kompozycji, żeby od pierwszego rzutu oka każdy treść zrozumiał; takie związanie treści z celem afisza, aby ta sama kompozycja nie mogła służyć dla fabryki czekolady, perfumery, lub magazynu miodu jedynie za zmianą liter tytułowych. Wszelkie napisy muszą być bardzo widoczne, jednocześnie jednak muszą się one łączyć ornamentacyjnie z resztą rysunku i stanowić z nim całość.

Tym wszystkim warunkom żaden z nadesłanych afiszów nie odpowiadał.

Stawiany dopiero pierwsze kroki na tej drodze, więc nie dziwne, że Niemcy zasypują nas swymi nieartystycznymi ale tanimi afiszami. Dlatego też każde udolnione stworzenia afisza polskiego zasługują na gorące uznanie.

Sierp.

NOWE KSIĄŻKI.

— P. Felix Thomas; **Pierre Leroux** — Contribution à l'histoire des idées au XIX siècle (Alcan, 1904).

Dielo to przypomina niezwykłą postać P. Leroux (1798—1871), głośnego działacza z połowy XIX w. Należał on do szeregów tych, którzy wśród ciężkiej pracy proletariatu zdążyli być wspaniałym trudem nauki, palącym pożądaniem wiedzy, jako „środka ziszczenia marzeń o nowym społeczeństwie bez przywilejów wrodzenia lub pieniędzy. „Wspomnienie prób i upokorzeń, które przeszedł i obraz niesprawiedliwości, które się działy koło niego, „kierowało jego oczy w stronę przyszłości. W niej widział on ratunek, w nią wierzył, jako w okres wyższego rozwoju ludzkości.

Teoria, głoszona przez P. Leroux, należy do przeszłości. Niejedno z niej znikło, ustępując miejsca nowemu rozwojowi myśli, niejedno rozkwitło i dojrzało. Treść jego nauki ściśle była związana z czasem i panującymi wtedy kierunkami. Nie zaginęła tylko w mroku przeszłości sama postać proroka przyszłości. Głębokość wiary w człowieka i w przyszłość, w naukę i jej wpływ, ukochanie ludzkości i prawdy razem z wytrwałym dążeniem do przypięcia panowania jej nad umysłami ludźmi, zachowanie do śmierci zapалу — są to główne znamiona tej wielkiej duszy. Postacie takie, choć ich nauce nie starzeje się i młknie, same są jak jasno posągi ducha ludzkiego.

W licznych swoich pracach teoretyczno-politycznych Leroux, idąc za czasem, opierał swoje dowodzenia na spekulacji, która ściśle odpowiadała rodzajowi jego umysłowości. Był to umysł syntetyczno-dedukcyjny, dążący do budowania wywodów z jednej zaśniedziej myśli. Głównie poszukiwał się on spostrzeżeniami z zakresu ogólnej psychiki człowieka. Za najwyższą potrzebę ludzkości uważał religię. Myśl ta przeobraziła się w przewodnią przez całą jego działalność. „Ludźwie jak jednostka i jako ludzkość nie może istnieć bez religii. Wzajemna miłość jest idea łącząca wszystkie części jego psychiki. Jeden, nie mając odwagi i siły po tem, przyjmując religię, w której się trudził; inny poddaje dawne wierzenia krytyce i tworzy sobie religię własną, indywidualną. Choć za wszelkimi wyznaniastwami istnieje niezmienność pierwotnych religijnych, którą uważamy za jej rozwój. Bóg zaś jest łącznikiem ludzkości z wszechwładnym, podłożem jak ludzkość łączy ludzi jednych z drugimi.

W nauce ważne miejsce wyznaczał Leroux również jako syntezę nauki; zwał za nią metodę elektryczną Cousina i jego szkoły i na jej miejsce stawiał metodę leczenia. W psychologii podnosił on trójność władz człowieka: wiedzę (conscience), uczucie (sentiment) i czucie (sensation). Pierwszą owej „trójności przedmiot napaści i szczytów przeciwników, wzrósł w dziełach Leroux do jakiegoś prawa przyrodzonego, które dostrzegał wszędzie.

Etykę swą opierał Leroux na wiedzy i miłości, bez których „ludźwie nie jest człowiekiem. W stosunku wzajemnym jednostek podawał solidarność. Solidarność ta jednocześnie jest faktem i obowiązkiem; faktem, łączącym wszystkich ludzi, obowiązkiem, wypływającym z tego leczenia się. Celem człowieka nie jest szczęście, lecz zupełny rozwój trzech pierwotnych jego organizmów: duchowej; woli, serca i umysłu; cel ten nierozdzielny jest z pojęciem ludzkości, bo indywidualnie jest tylko w społeczeństwie i przez społeczeństwo — a społeczeństwo i ludzkość realizują się tylko w jednostce. Z pojęcia tego wywodzi on określenie prawdy, ojczyzny i ludzkości. Niezgodność między jednostką jest własność, którą normuje społeczeństwo. Normowanie to powinno opierać się na fakcie, że pracę produkującą wartość pracę kolektywną, a nie indywidualną.

W ustroju społecznym stoi Leroux też na zasadzie trójności i opiera na niej całą budowę

ludzkości. Pojęcie ciekawe jako koncepcja myślowa, niemająca obecnie innego znaczenia. Co do metody postępowania, to Leroux wierzył w środki pokojowe — oświatę i naukę i był przeciwnikiem środków gwałtownych i rewolucyjnych.

Ruchliwy jego umysł roztrząsał i wiele innych kwestyj natury społecznej, estetycznej i fil., których niepodobna wyliczać w krótkiej wiadomości.

Książka P. Thomas napisana jest zwięźle, jasno i umiejętnie. Daje on nam całokształt postaci P. Leroux i jego teorii. Jedyną niedogodność przedstawia to, że autor mało zwraca uwagi na łączność teorii Leroux z współczesnymi prądami i nie wyodrębnia samodzielnej jego własności. Po za tem książka ciekawa i warta przeczytania dla każdego, kogo interesują dzieje umysłowości XIX w.

Z. Br.

MIĘDZYNARODOWY RYNEK PRACY.

Styczeń roku bieżącego należy do najcięższych miesięcy dla przemysłu. W najbardziej przemysłowych krajach: Anglii i Stanach Zjednoczonych położenie wciąż się pogarsza. W Anglii liczbę pozabawionych pracy wynosi 5,6% (w latach ubiegłych dochodziła do 5,1%). Szczególnie ciężkie są stosunki w przemyśle żelaznym. Ograniczenie ilości dobowej rudy, zamknięcie całego szeregu zakładów nie usunęło zastoju. Ceny spadają stale. Nicco inaczej rzecz się ma tylko w górnictwie węgłowym, gdzie liczne zaporybieranie na Wschód i zakupy admiralicy ratują położenie. W innych gałęziach pauperyzacja skracania pracy, zwalnianie robotników. — W Stanach Zjednoczonych rzecz się ma tak samo. W niektórych wielkich zakładach stalowych obniżono płacę w stosunku 50% do poprzedniej. Trudni stalowcy, zatrudniający 200 tys. robotników, zmniejszył płacę do 20%. W innych gałęziach przemysłu też położenie, co w Anglii. Tylko w przemyśle węglowym znać także nieco większe ożywienie.

NA MARGINESIE.

Polskich katolików w Stanach Zjednoczonych mieszka blisko 2 miliony. Wskutek tego zwrócił się oni do Rzymu z prośbą o mianowanie dwóch biskupów narodowości polskiej. Tym ich żądaniem biskupi amerykańscy, a szczególnie magr. Forly, arcybiskup Nowego-Yorku, starali się uśmić przeciwdziałać w Watykanie i spełnieniu ich życzeń przeszkodzić. Co im się w zupełności udało. Ocenia jednak lekać się można, że z tego lekceważenia życzeń prawowitych katolików Polaków skorzysta tylko „niezależny kościół polski“, liczący już 60,000 wyznawców, któremu teraz napewno członków przybędzie.

Towarzystwo dla wykształcenia ekonomicznego, powstałe w roku zeszłym w Frankfurcie n. M., wzięło sobie za cel szerzenie znajomości nauk ekonomicznych wśród pracowników, urzędników administracyjnych, handlowców i przemysłowców. Przedewszystkiem stara się ono o przygotowanie odpowiednich ksiąg naukowych. Nauczanie prowadzi przez artykuły, odczyty, wykłady treści ekonomicznej w wyższych szkołach technicznych, urządzenie archiwów i bibliotek; udziela też pomocy osobom studiującym te kwestie. Za przykład działalności Towarzystwa posłużyć mogą tematy już opracowane: naukowe położenie niemieckiego przemysłu stalowego, przemysł elektrotechniczny — przez inżynierów, a kwestya polidolowu-afrykańskiej kopalni złota i inne — przez pracowników. Tematy są wybierane teoretyczne, nieodwracane, lecz ściśle związane z praktyką i pewną gałęzią przemysłu lub handlu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Utworzył się w Warszawie komitet do celu zbierania składki na udzielanie wsparcia rodzinom chłustekleńskim, których opiekunowie powołani zostali do armii na Dalekim Wschodzie.

— W „Zbiorze praw“ ogłoszono Naczelnicę więziń przytrykłych politycznych mają prawo więziom, arestowanym w sprawach politycznych, udzielić za naruszenie porządku nagany, a po porozumieniu z prokuratorem nadać ich w karcerze w kaftanie krepacyjnym.

— Główny zarząd do spraw fabrycznych i górniczych określił czas roboczy dla maszynistów, zatrudnionych w podziemiu, na 6 godzin dziennie.

— Ogłoszono przepisy, zabraniające pracy małodzieciom w fabrykach wyrobów tytoniowych.

— W Kur. Warsz. znajdujemy następujące zawiadomienie, a **Pat. Wied:** Zarząd wojskowy lekarzy okręgu wileńskiego, wobec zakładania oddziałów szpitalnych Czerwonego Krzyża w Wilnie i Mińsku, orzekł, iż: „Lekarze niechcą oddzielić winien być lekarzom wyznaczenia prawowitego, młodzi zaś lekarze mogą być wyznaczenia katolickiego i ewangelickiego.“ Obecnie jednak komisja wykonawsza postanowiła: „Zawadomić zarządy miejscowa Czerwonego Krzyża w Wilnie i Mińsku, rząd gubernialny w Mińsku i zarząd wojskowo-lekarski w Wilnie, że takiego rozporządzenia co do wyznaczenia lekarzy nie wydawała, tudzież polecił, aby ograniczenie było niezawinione cofnięcie i aby ogłoszono o tem w dziennikach.“

— **Prener Tagelblat** donosi, iż magistrat gnieźnieński postanowił zmienić herb miasta, istniejący od lat 200 a przedstawiający orla białego w gnieździe. Najnowsze badania heraldyczne znanych niemieckich miast wykryły, że Gniezno używało dawniej innego herbu i że ową „gwieźdę“, od którego legenda wywodzi powstanie miasta, nigdy nie istniała. „Tylko słowność rzeczy i późniejsze wykonanie herbu — twierdzi on — sprawiły, że palmy które otaczały orla, zamieniono na gwieźdę.“ Natomiast dawniej w herbie miasta znajdowała się głowa kręta w koronie, co świadczyło, że Gniezno było miejscem kronarzy monarchów. Informację herbu magistrat powierzył prof. Hillebrandowi z Berlina i dyrektorowi szkoły realnej Sillekenowi, którzy też wypracowali rysunek odpowiedni, przedstawiający w tarczy głowę akurkowaną, a pod nią orla zwykłego, bez gwieźd.

Skłoby i wychowanie. W Warsz. **Do czytelników:** „Obejrzajcie inspektor szkolny W. T. Sokolow, zwrócił szczególną uwagę na niewiedzę i słabość języka rosyjskiego w szkołach początkowych. Woląc tego postawionemu znowemu co pewien czas zebraniu nauczycieli i nauczycielek i tychże szkół o osobistego wykształcenia i wspaniałego rozstrząsania niektórych sposobów wykładowego przedmiotu pierwszorzędnej działalności. Pierwsze takie zebranie odbędzie się w d. 24 s. m. w szkole realnej imienia Konarskiego. Przedmiotem rozstrząsania i wykładania było tym razem wyrażenie i zrozumienie czytania.“

— Nauczyciele Zydzi wnieśli podanie o pozwolenie na otwarcie kursów wieczornych dla terminatorów żydowskich.

— Na mocy nowej instrukcji pod ręką inspektora szkolnego dalsze oddaje szkołom; chędry żydowskie, wszystkie ochrony dla dzieci tak prywatne jak utrzymywane przez Tow. dobroczynności, zakłady i ogródki frukulewskie oraz wszelkie rolnicze i rzemieślnicze są zajęte.

— Dnia 14 kwietnia upływa ostateczny termin składania podań o dopuszczenie do ograniczonej działalności w gimnazjach i szkołach realnych.

— W Krasnowie odbył się zjazd delegatów polskich Stowarzyszeń studenckich, należących do związku „Ognisko“. Przybyło 114 przedstawicieli 22 stowarzyszeń. Obrady trwały 3 dni.

— D. 18 marca odbyło się w uniwersytecie lwowskim zebranie akademików rusińskich, w sprawie utworzenia rusińskiego wydziału prawników. Uchwalono szereg rezolucyj, dotyczących katedr ekonomii politycznej, prawa handlowego i wojskowego, prawa rzymskiego, utworzenia komisji egzaminacyjnej z językiem rusińskim itp. Uchwalono nadto wypracowania memoriału do ciała profesorskiego, senatu akademickiego i ministerstwa.

— Ogłoszono program kursów wakacyjnych w uniwersytecie Jagiellońskim. Wykłady rozpoczyna się 24 czerwca i obejmą następujące przedmioty: I) Dział historii i literatury powszechnej XIX w.; prof. dr. Błanowski (3 wykłady), Kościół i państwo w XIX w.; prof. dr. Czerkaski (10 wykl.), Kwestya socjalna w XIX w.; prof. dr. Milewski (4 wykl.), Kwestya agrarna w XIX w.; prof. dr. Ant. Poraki (3 wykl.), Rozwój handlu i przem. w XIX w.; prof. dr. Aug. Sekulowski (10 wykl.), Idea niepodległości w XIX w.; prof. dr. Zdzisławski (15 wykl.), Idea przewodnic w literaturze w XIX w.; dr. Konat. Gorski (4 w.), Głównie kierunki rozwoju sztuki w XIX wieku. II) Dział historii polskiej i językoznawstwa polskiego. Prof. dr. Czernek (6 wykl.), Ustęp W. Ka. Litewskiego przed Unią lubelską; dr. Wacław Tokarz 30 w.). Daje narodu polskiego w XIX w.; dr. Jan Łód (10 wykl.), Historyczna składnia języka polskiego. III) Dział pedagogiczny. Dr. Małanowski (10 wykl.), Wskazówki do nauczania historii literatury polskiej; prof. Ignacy Sielski (10 godzin), Wskazówki do nauczania języka polskiego; prof. Stanisł. Sobinski (10 wykl.), Wskazówki do nauczania historii powszechnej i polskiej. Zapisy przyjmują dr. Wacław Tokarz, Kraków, Seminarjum historyczne uniwersytetu Jagiellońskiego, w Collegium Novum.

— Wszystkie władze uniwersyteckie w Niemczech otrzymały polecenia, aby przy dopuszczaniu do studiów poddanych rosyjskich, kandydatów poddawali bardzo ściślemu egzaminowi, celem przekonania się, czy stopień wykształcenia odpowiada normie, wymaganej w gimnazjach niemieckich.

Literatura i prasa. *Fińskińska gazeta* ogłasza, że wydawany w Helsińgforsie dziennik *Pöytäkirja* zamieszono na jeden miesiąc za dwukrotnie zamieszanie manifestu Najwyższego z samowolnie skróconym tytułem Monarkazym.

— W Paryżu zaczął wychodzić dwutygodnik poświęcony sprawom kobiecym p. t. *La femme d'aujourd'hui*.

26 sztuk. Petroszurska Akademia sztuk pięknych czyni starania o znalezienie kar za przetrzymywanie pasportów zagrażających przez artystów malarzy.

— W Berlinie zawieszono już Towarzystwo malarzy

polских w celu dopomagania rodom w odbywaniu studiów malarzkich na obczyźnie.

Kolejki komunikacyjne. Według nowej taryfy, opłata za bilety dla przewodników, towarzyszących ładunkom kolejowym, wynosi: za 50 wiorat 38 kop. za 100 — 75 kop. za 150 — 1 rb. 13 kop. za 200 — 1 rb. 60 kop. za 200 — 2 rb. 35 kop. i tak dalej do 920 wiorat, a następnie po 1/2 kop. za wiorat.

— Ze względu na bezspiecznosc podróży od d. 1 maja ma być powiększona obługa kolejowa, jeden konduktor będzie miał pod awym dozorem jeden wagon i klasy lub dwa II-ej.

— Od d. 24 s. m. wprowadzono niższą o 16%, od zwyczajnej, taryfę za przewóz robotników wiejskich, w wagonach towarowych, przystawianych do podług osobowych.

— Rozpoczęto przygotowania do przeprowadzenia kolei mającej połączyć Amerykę Północną ze Środkową i Południową. Początek linii w porcie Nilson nad zatoką Hudsonską, koniec w Argentynie, w Buenos-Ayres. Długość toru wynosi 17,000 kilometrów, koszt — 1,258,000,000 franków, czas trwania robót — lat 8.

Peosta. Główny zarząd poczt i telegrafów zawiadamia, że w korespondencji, wysyłanej do osób, będących w służbie wojskowej w Księstwie europejskiej lub na Syberii, wyszczególniać należy: „do armii niemieckiej” lub „do armii”; oprócz tego wyznaczają należy nazwę korpusu, oddziału lub instytucji wojskowej, gdzie adresat służy, oraz wymienić jego rangę lub tytuł słubowy, imię, imię ojca i nazwisko. Listy zwyczajne, zapieczętowane, wagi do dwóch funtów, jako też otwarte, skrócone na kartach poręczonych bez stempla, przesyłane będą do żołnierzy armii bezpłacie.

— Dnia 14 kwietnia r. b. rozpocznie się wydawanie przekładów pieniężnych, pocztowych oraz przesyłek z przekazami za pośrednictwem stacji kolejowych i szlaków gminnych. Posyłają na wieś przekazy i pośyłki, należy w adresie wskazać najbliższy urząd pocztowo-telegraficzny, który dokonywa wymiany korespondencji ze stacjami kolejowymi i szlakami gminnymi, oraz stację kolejową lub urząd gminny, w którym odbierze pieniądze. Najbliższe biuro pocztowe.

towo-telegraficzne, odebrałszy taki przekaz, pośle pieniądze do wskazanej stacji kolejowej lub do urzędu gminnego dla wzięcia adresu adresata, bez żadnej dopłaty za przesyłkę.

Zmarli. Sir Edwin Arnold, badacz języka sanskryckiego, poeta i publicysta angielski, w Londynie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Prenumeratorowi Lu. Lam. z Warszawy. Szekada, że nam Pan też myśli więcej nie podał.

OFIARY.

Na powiadzanie. Jachimowicz z Irkucka 15 rb., Skowronski z Birska 1 rb.
Na Senatorem dla suchotników: Skowronski z Birska 1 rb.

W. Sieroszewskiego

Brzask

Puszcza Białowieńska
Grecka szczelina.....
Dno nędzy.....

Nakładem Autora.

Wydanie drugie.

Cena rb. 1 kop. 20.

SKŁAD GŁÓWNY

w Administracji „Prawdy.”

Można dostać w każdej księgarni.

OGŁOSZENIA.

Do sprzedania **Fortepian** MAŁECKIEGO, krótki, w doskonałym stanie, o bardzo przyjemnym tonie. — Wiadomość w Redakcyi „Prawdy.”

WYDAWNICTWA GEBETHNERA I WOLFFA

ARYMAN MŚCI SIĘ GODZIŃA

przez **Stefana Żeromskiego**

Wydanie wytworne na czepczym papierze ozdobione motywami stronicowymi.

Tęgi autor poprzednio wydane:

POPIOŁY. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku, 3 tomy, rb. 5.

LUDZIE BEZDOMNI. Powieść. Wyd. 3-cie, 2 tomy rb. 2.

OPOWIADANIA. Wjd. 3-cie, rb. 136 kop.

PROMIEN Powieść. Wyd. 3-cie (w druku) rb. 1.

UTWORY POWIEŚCIOWE. Wjd. 3-cie w druku rb. 1.

HISTORIA FILOZOFII

F. Kirchnera,

w przekładzie Dr. K. KRAUZA.

Cena 2 rb., z przesyłką rekomendowaną 2 rb. 30 k.; w oprawie 2 rb.

35 k., z przesyłką 2 rb. 70 k.

Skład w Administracji „PRAWDY,” Sadowa 14.

Zatwierdzona przez Ministerium Najwyższego Dworu

Szkoła Artystyczna dla Kobiet „A. Conti”

została przeniesiona od Kwietnia do lokalu przy ul. Obóznej Nr. 5.

Rysunki i malarstwo (model żywy i gipsy). Rzeźba (model żywy i gipsy). Sztuka stosowana i kompozycja ornamentacyjna. Rysunki techniczne i konstrukcyjne. Rysunki wieczorne (model żywy i gipsy). Kurs wieczorny dla dzieci (rysunek elementarny i modelowanie). Kurs niedzielny (model żywy i gipsy).

Kierownicy artyści: Antoni Austen, Marya Gerson-Dąbrowska, Karol Jankowski, Arkadyusz Jasiński, Leonadya Łempicka, Bronisław Maruszewski, Maryan Trzebiński i Władysław de Turquier.

Zajęcia codziennie od g. 10 rano do 2 popoł. i od 5—7 wiecz.

Opłata miesięczna: Kurs dzienny (po 4 godz. dziennie) 10 rb., Kurs wieczorny (po 2 godz. dziennie) 5 rb.; Kurs dla dzieci (codziennie lub trzy razy tygodniowo po 2 godz.) 5 rb. lub 3 rb. Możliwość uczęszczania od drugiego dnia albo na pół roku.

Szczegółowych informacji udziela się w lokalu szkoły lub listownie.

Z rozpoczęciem wakacji letnich otwarty będzie kurs pejzażowy z wyjazdem na wieś w okolicy pięknej i zdrowej.

NOWOŚCI

Pamiętnik majora wojska polskiego

J. F. Kierzkowskiego

Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.